№ 20. Warszawa, dnia 5 (17) Maja 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Prawo do pracy.

Niech to czytelników naszych nie dziwi, że im częściej rozjaśniamy sprawy Niemiec, niż innych państw zachodnich — Francyi lub Anglii. Składają się na to bardzo poważne względy: mocarstwo to wywiera bezpośredni i pośredni wpływ na warunki życia naszego, ulega woli człowieka, który jest dyrektorem całej orkiestry politycznej w Europie i komponuje dla niej melodye nowe a w skutkach swych niezmiernie ważne. I dziś więc zajmiemy się ostatniem wystąpieniem ks. Bismarka w rozprawach nad ustawą przeciw socyalistom.

Jak wiadomo, rząd domagał się przedłużenia jej jeszcze na lat dwa. Z początkowych obrad parlamentu i z odmownego wniosku komisyi istotnie można było przypuszczać, że z tem żądaniem nie przejdzie. Co do nas, w poprzednim numerze *Prawdy* zauważyliśmy, że mydlkowania partyi klerykalnej czynią tryumf kanclerza bardzo prawdopodobnym. Ostatecznie—zwyciężył i to dość znaczną ilością głosów. Ale nie o to nam idzie, nie o rezultat, chociaż przy nim wystąpiło kilka charakterystycznych objawów, mianowicie smutny debiut t. z. partyi wolnomyślnej, niedawno z takim hałasem utworzonej, która zapowiedziała energiczną opozycyę przeciwko kanclerzowi a tymczasem — jak drwi jedna z gazet — *afflavit Bismarchius et dissipati sunt.* Idzie nam tu głównie o nowe na rządowym sztandarze hasło, o stanowcze ogłoszenie przez Bismarka „prawa do pracy," zamiast dotychczasowego, na swobodzie współzawodnictwa opartego prawa do umierania z głodu. „Dajcie — rzekł on —robotnikowi prawo do pracy, dopóki jest zdrów, zapewnijcie mu opiekę, gdy zachoruje, ubezpieczcie go, gdy się zestarzeje." Dajcie mu to, a gdy rząd oświadcza gotowość — nie wrzeszczcie na socyalizm państwowy. Jakkolwiek ta zachęta wygląda na pozór niewinnie i tylko ukazuje stronę swojej wspaniałomyślności, właściwie wyważa z gruntu obecny system ekonomiczny i daje mu podporę socyalistyczną. Słusznie też odpowiedział poseł Richter. „Jeżeli państwo zobowiązuje się każdemu dostarczyć pracy, musi podejmować wielkie przedsięwzięcia i wystąpić do współzawodnictwa z przedsięwzięciami prywatnemi, to zaś prowadzi do uorganizowania produkcyi i całego życia ekonomicznego przez państwo. Różnica tedy między socyalizmem i polityką kanclerską ogranicza się na tem jedynie, że pierwszy chce swojemu społeczeństwu nadać ustrój republikański, druga — monarchiczny." Jak widzimy ks. Bismark po drodze Lassalle'a sunie się coraz dalej. Jest w tem nieco taktyki cezaryzmu, który po wszystkie czasy szukał oparcia w najnowszych warstwach społecznych, ale jest dużo pierwiastków nowych. Może po części z odrazy, ale niewątpliwie i z przekonania ks. Bismark nienawidzi bezwzględnych liberałów i postępowców. W ostatniej mowie swojej rzekł on: „Liberalizm, jako postępowa demokracya, jako panowanie parlamentu, niema żadnej przyszłości. To też uważam sobie za obowiązek walczyć z nim, dopóki mi tchu starczy. Partyę postępową uważam za daleko niebezpieczniejszą dla rozwoju naszego państwa, niż socyalistów." Powtarzamy, jest to nietylko wyraz nienawiści, płynącej ze wspomnień długoletniego ścierania się, ale także konsekwentnie z zasady wyprowadzone przeciwieństwo. Kto — jak ks. Bismark — jest monarchicznym socyalistą, kto chce władzą państwową regulować wszystkie stosunki społeczne z uwzględnieniem praw ludu roboczego, ten nie może być wyznawcą dogmatu bezwzględnej swobody, a więc i swobody wyzysku z jednej a ubóstwa z drugiej strony. Kanclerz niemiecki przeto musi być nietylko uczuciowym, ale i rozumowym przeciwnikiem liberalizmu.

Ale jak szybkość wszelkiego ciała, tak ważność wszelkiego słowa wzrasta proporcyonalnie do wysokości, z której ono spada. Dopóki obowiązek państwa w dostarczaniu pracy każdemu głoszony był ustami Beblów, Liebknechtów i innych drobnych apostołów socyalizmu, mógł on oddziaływać jedynie na klasy robotnicze. Gdy wszakże ogłasza go dziś najpotężniejszy człowiek naszej epoki, który jest słońcem całego systematu politycznego, już nie same Niemcy, ale cała Europa musi się liczyć z tem hasłem i jego wpływ niewątpliwie poczuje. Dał nam znać nawet o tem telegraf, donosząc o wrażeniu słów Bismarka w Wiedniu. Nie potrzeba być jasnowidzącym, ażeby takież, lub może jeszcze silniejsze wrażenie przeczuć we Francyi, Anglii itd. Socyalizm więc, chociaż mu jeszcze na dwa lata nałożono pęta w Niemczech, niewątpliwie dostrzega w tem urzędowem ogłoszeniu „prawa do pracy" nowy dla siebie tryumf i powtarza — „a jednak się porusza."

KONWENCYONALNE KŁAMSTWA.

III.

Z kolei Nordau przebiega oddzielne sfery bytu społecznego, politycznego, ekonomicznego, rodziny, małżeństwa — i wszędzie uderza go widok kłamstw wołających o pomstę do nieba. Nic piękniejszego nad obrazek, w którym autor, w osobie Hansa maluje nam typowy byt obywatela dzisiejszego państwa. Jestto najprawdziwsza, krwią pisana epopea, bohaterem jest człowiek, padający ofiarą jednego z tych uprzywilejowanych fałszów, z którymi teoretyczna walka krytyki, znaczy, niestety, zaledwie tyle, co wywijanie miotłą przez

pustynię Sahary. Pomiędzy fałszami ekonomicznymi, autor zgodnie z zasadą ożywiającą wszystkie jego poglądy, z zasadą przyrodoznawczą, podnosi fakt sprzymierzenia się dziś przemysłu, handlu i kapitalizmu przeciw najrealniejszej, najnaturalniejszej sprężynie dobrobytu: pracy nad rolą, a wyśmianie fizyokratyzmu, jakoby naiwnego błędu. Uprawa gleby jest dziś pasierbicą kultury. Wszystko ciśnie się do miast, które wysuszają mlecz w mieszkańcach swoich, tak dalece, że wszystkie miasta po dwóch lub trzech pokoleniach zamieniłyby się na cmentarze, gdyby umierających nie zastępował przypływ ludności, opuszczających rolę, tj. wyrywających się z objęć życia a rzucających w objęcia śmierci. Dzięki więc kłamstwu ekomicznemu feniks Maltusowy budzi się na nowo z popiołów: „ponieważ ziemia nie może już wyżywić ogromu ludności, a więc trzeba *pracować* (tj. *próżnować* w konforcie) nad zmniejszeniem go.“ A tymczasem, zdaniem Nordau'a, dzisiejsza Europa na 9,710,340 kilometrów kwadratowych wyżywiająca tylko 314 milionów mieszkańców (i to jeszcze przy zasilaniu się zbożem i mięsem z Indyi, Kaplandu, Algeru, Ameryki północnej i Australii), byłaby w stanie—choćby tylko przy takiem gospodarstwie, jak chińskie (4 mil. kilom. = 405 milionów ludności, a głód przypada tam tylko w razie nieurodzaju), wyżywić przeszło 1,900 milionów.

Oto z kolei niektóre rysy z dziedziny politycznej. Ze wszystkich form państwowych najwięcej dostało się — od autora — konstytucyonalizmowi. Dla wroga kłamstw konwencyonalnych, mówi on, nie masz pocieszniejszej krotofili nad dylemat, w którym nieubłagany logik naszych czasów, książę Bismark stara się przyskrzypnąć palce tak zwanym liberałom sejmu niemieckiego, przemawiając do nich wciąż ustami upełnomocnionych swoich mówców i tresowanych dziennikarzy: „albo jesteście republikanami, a w takim razie obłudnikami, prześcigając się wzajem w zapewnieniach o lojalności, albo wasza lojalność jest rzetelną, a w takim razie powinniście okazywać ją posłuszeństwem woli Jednego. Świetna alternatywa! te dwa *albo*, to młot i kowadło, pomiędzy któremi liberalizm nasz zmiażdżonym zostaje na papkę, której nawet pies nie raczyłby spożywać—a więc „albo republikanie, albo absolutyści! Trzeciego niema!“ Rzeczywiście, trzeciego niema. Wprawdzie nasza żelazna logika waży się tu na nadzwyczajną śmiałość, wyzyskuje — bo oto polityk, któremu język jeszcze nie zardzewiał, odwraca włócznię i odpowiada jej „jeżeli atutem jest logika, to najpierwszymi kłamcami i obłudnikami jesteście wy. Jeżeli ma rozstrzygać wola Jednego, na cóż ogłaszacie wybory, sejmy, itd? Jeżeli zaś konstytucyę bierzecie na seryo, to pozwólcież, ażeby głos ludu ważył przynajmniej tyle, co i tamta. A więc, albo jesteście kłamcami albo republikanami.“ A cóż na to prawowierni, co to dają nam prawo mówienia głośno, pod warunkiem, że będziemy milczeli, albo będziemy językami ich mózgu? Oto odpowiedzą nam: „świętą i niezbitą rzeczą jest logika, ale i armia podobnież.“

Poważniejszą w charakterze swoim, podług Nordau'a, jest monarchia, w dosłownem, okrągłem znaczeniu wyrazu, jakkolwiek i ona przedstawia pewne znamiona niepoprawności w formie uzasadnienia praw swoich. Mianowicie te, że szuka punktów oparcia w dziedzinie transcendentalnej, zamiast wskazywać na punkty nieskończenie dotykalniejsze, pewniejsze. Nadzwyczaj dowcipnie zestawia ją autor z republiką. „Nie wytaczam tu procesu monarchii — mówi autor, aby ogłosić jej sprawę za upadłą na korzyść republiki. Owszem, ani mi przychodzi do głowy zapalać się do republiki z naiwnością owego rynkowego liberalizmu, który zachwyca się dźwiękiem słowa, nie rozumiejąc jego znaczenia. Dla wielu tak zwanych wolno myślicieli rzeczpospolita jest pierwszym celem dążenia, dla mnie — ostatnim. Jeżeli ma ona być postępem i prawdą, zastrzega sobie z góry, jako konieczną podstawę dziejową, cały szereg urządzeń społecznych, ekonomicznych i politycznych, które różnią się zupełnie od istniejących. Czysto-polityczny przekształt, zamieniający którąkolwiek z monarchij europejskich w rzeczpospolitą, robi zupełnie to samo, co robili na początku wieków średnich apostołowie pogan, którzy nawracanym przez siebie ludom zostawiali ich bogów, święta i zwyczaje i tylko nazwy chrześciańskie im nadawali. Cała działalność takich przewrotów ogranicza się na tem, ażeby na starych, niesprzedalnych towarach poprzyklejać nowe etykiety i wywiesić je, jakoby coś nowego, przed oczy łatwowiernemu ludowi. Rzeczpospolita, jest to końcowe ogniwo długiego łańcucha rozwojów; jestto forma państwowo-prawna, w której uwidamia się myśl o służącem ogółowi ludu prawie orzekania o sobie. Rzeczypospolite włoskie z r. 1848, hiszpańską z r. 1868, francuską z r. 1870 autor uważa za nic innego, jak tylko monarchie z tronem opróżnionym, za monarchie, które na chwilkę pozwalają sobie republikańskiej maskarady. Wyobraźmy sobie zebranie karnawałowe szlachty, przedstawiającej wesele chłopskie albo obóz cygański. Będą tam ubiory i sprzęty, czyny i sposób mówienia naśladujące niższą warstwę ludu, ale mimo to każdy gość pozostanie tam Jaśnie panem księciem i Jaśnie panią hrabiną, a lud rzeczywisty, gdyby mógł przyglądać się im z galeryi sali balowej, niezawodnie tej maskarady nie wziąłby za fakt zniesienia różnicy stanu. A przecież — rzecz dziwna — ten sam lud wierzy, że przed jego oczami dzieje się naprawdę coś rzeczywistego, prawdziwego, jeżeli na politycznej maskaradzie monarchia przebierze się za republikę i z całą wykwintnością wykonywa tańce demokratyczny. Jedna tylko rewolucya zdaje się, że pojmowała, a przynajmniej przeczuwała ideał zadania republikańskiego — wielka rewolucya francuska. Jednakże, ani *przeoranie każdej skiby gruntu dziejowego*, ani nowa chronologia, ani dekady nie potrafiły tam przemiesić inaczej mózgu ludzkiego. Dubarry, wchodząc na krwawe rusztowanie, jeszcze powiedziała do obywatela Sansona: „daruj, *panie* kacie.“ Wkrótce po upadku teroryzmu krociom rabusiów i złodziejów, zbogaconym bezwstydnie przez zajmowanie się dostawami dla rządu albo przez szafowanie dobrami wychodźców, przyznano takie stanowisko, jakie w dawnem społeczeństwie zajmowała szlachta rodowa, tak, że później Napoleon potrzebował tylko udzielić tytuły tym dorobkowiczom, dla wytworzenia z nich prawidłowej arystokracyi na modłę zniszczonej, i zaledwo uspokoiło się rewolucyjne trzęsienie ziemi, oto średniowieczna budowa społeczeństwa powstaje na nowo — wprawdzie częściowo z innych kamieni i belek, ale zupełnie podług dawnego planu i stylu. Nie byłoż to rażącym błędem przeciw zasadom zdrowej logiki, amputować głowę prostomyślnemu Ludwikowi podczas, kiedy lud francuski miał pozostać nadal przy

---

²)

„Kołatał“ – i nie „otworzono.“

Słońce zapadło za bór, zanosiło się na zmierzch. Gdzieś na odległem błocie ozwał się chóralny śpiew żórawi. Chrabąszcze naprzemian z nietoperzami zaczęły przerzynać ciepłe i gęste, wonią brzóz i żywicy nasycone powietrze, pierwsze pobrzękując poważnie, drugie mlaskając i ćwirkając jakoś dziwnie. W głębi puszczy rozległy się wspaniałe odgłosy ligawki podleśników z sąsiedniej wsi.

Tracze i cieśle, zarzuciwszy na plecy piły, topory, świdry i sakwy swe z konopnego zgrzebnego płótna, pykając poważnie z cybuchów w kabłąk zgiętych i swą złamaną i urywaną rozmową zakłócając niedołężnie ciszę wieczorną, powlekli się do domu. Do kuźni poschodzili się rzemieślnicy z odległejszego miasteczka Jelników. Jedni z nich rozdmuchiwali gasnące węgle na trzonie kowalskim, myśląc o gotowaniu wieczerzy. Inni, porwawszy dotlewające już, wtłaczali je paznogciami dużych palców w lulki, cmokając i przysłuchując się gadatliwszemu z pomiędzy siebie kotlarzowi, co nie mógł uspokoić się po ucieczce pana dziedzica i klął go groźnie.

Łukasz tymczasem siedział jeszcze przy śrubsztaku. Drżenie rąk od całodziennego suwania pilnikiem pozgrzytującym metalu ustało. Bólu i zmęczenia w wyprostowanym krzyżu już nie czuł, krtań swobodniej wpuszczała powietrze do płuc, nie kurcząc się dolegliwie, jak zaraz po przerwaniu pracy. Słowem, minęło zmęczenie.

Nie poszedł jednak do swoich kamratów, bo go dziś dziwnie jakieś myśli obsiadły.

Przesunęło mu się w pamięci najprzód jedno miasteczko powiatowe, a w niem, gdzieś na samym brzegu rzeki, szopa o dużym czerwonym kominie, który wyrzucał, niby z paszczy, rój iskier, a wewnątrz huk był wielki. Tam się uwijało kilkunastu ludzi o brodach i włosach rozczochranych, o twarzach spoconych i czarnych od sadzy. Biegali ze zręcznością niedźwiedzi, co chwila gromieni przez jednego człowieka, który snać kierował wszystkiem i miał władzę nad nimi. Z jego postawy widać było, że niemcem być musi. Trepki miał na nogach, rękawy po łokcie zawinięte, kapelusz na głowie, a na przodzie fartuch skórzany. Ludzie ci rozlewali po ziemi z garnków dużych płyn jakiś ognisty. Była to odlewnia Fryca Szulca...

— Co pan sobie życzyć? — zapytał niemiec.

— Hm, a cóż, przyszedłem się przypatrzyć robocie.

— A, jaa... patrzeć robota, aber nie nie rozumieć!...

— Niechno pan tylko z łaski swojej pozwoli mi obejrzeć to i owo a wytłomaczy cokolwiek...

— A, jaa... tłomaczyć szokolwik, dobra.

I sypnął niemiec gradem dziwnie jakoś obco i dziko brzmiących wyrazów.

Ten model tak robiony, ów inaczej. Ten służy do odlewania takich rzeczy, ów innych. I wskazywał przytem na różne odlewy już gotowe. Połyskiwały śliczne świeczniki, miski, miseczki, garnki, garnuszki. Kół było dużo różnej wielkości i jeszcze jakichś rzeczy siła, siła! Aż w oczach się ćmiło, a na co one wszystkie? Zgadnąć trudno!...

Tymczasem w uszach szum od miechów, jak potwory sapiących bez przerwy. Wyszedł stamtąd Łukasz, a na duszy, jakby sto pudów siadło i gniotło ją biedaczkę.

Z kolei przemknął mu się w myśli inny obraz.

Była niedziela poszedł do dworu, zasłyszawszy o jakiejś robocie przy pałacu pańskim w Ostrodrapach. W kancelaryi leśniczego rojno było. Przyjechał rządca z pomocnikiem swym, a za nim ekonomowie z folwarków, żydzi z miasteczka, szlachta czynszowa. Rządca, człowiek energiczny i pełen poczucia godności własnej, siedział w wygodnym fotelu i dawał rozporządzenia ekonomom. Ci stali u progu w postawie kornej i przestępując z nogi na nogę, słuchali pilnie.

swojem dawnem pojmowaniu świata, czci dla słowa, przy wierze w zaświatowość, przy kulcie umarłych? Kiedy, jak kaleka po operacyi, miał wciąż poczuwać ból w braknącym członku. Doprawdy, społeczeństwo pod tym względem podobne jest nie do człowieka, lecz do owych niższych organizmów, którym organa odcięte odrastają napowrót. Słowem, jeżeli rzeczpospolita chce być nie kłamstwem, lecz konieczną formą zewnętrzną wewnętrznych urządzeń, to lud pragnący skrystalizować się w tę formę, powinien stanąć na gruncie naturalistycznego pojmowania świata a wyrzucić z siebie pierwej wszelkie zgoła rumowiska średniowieczne, wszelki transcendentalizm, dziedziczne różnice stanów, kapitalizm. Bez takiego oczyszczenia tła, rzeczpospolita bynajmniej nie będzie miała wyższości nad monarchią, owszem musi jej ustąpić pierwszeństwa, mianowicie ze względu, że nie zaspakaja logiki i estetyki, jak to czynić potrafi wytworzona dziejowo, jednolita, zamknięta w sobie budowa monarchii absolutnej.

A nieustosunkowanie pracy do bogactw? a szał marnotrawstwa bogatych? a równoległe wzrastanie milionerstwa i żebraniny? — położenie w społeczeństwie ludzi „deklasowanych“ (pracowników duchowych) — stosunek ubogich mocarzy umysłowych do wielmożności nie umiejących podpisać się ortograficznie? a zmonopolizowanie dróg prowadzących do kultury? stosunek jednostki do opinii publicznej? a despotyzm prasy — pojedynki, które dziś utraciły swój charakter prawny?—a kłamliwość form obejścia się towarzyskiego — i nakoniec fałsze i parodye małżeństwa — najwznioślejszego aktu, do jakiego wznieść się może jednostka pod natchnieniem uczucia solidarności?

Czyliż nigdy nie wyginą kąkole? nie zapanuje prawda? Zapanuje ona kiedyś najniewątpliwiej; ale nie pierwej, aż zapanuje mądrość przyrodoznawcza, *moralność naturalna*, zbudowana na niewzruszonej opoce uczucia jednolitości człowieka z powszechną a przedewszystkiem z najbliższą mu naturą, ludzkością; moralność we dnie i w nocy, jawnie i tajemnie wołająca: „jesteś częścią ludzkości, jej więc pomyślność twoją jest pomyślnością, jej cierpienia twojemi są cierpieniami — ludzkość kwitnąca rajem twoim, cierpiąca — piekłem twojem.“ „Szczęśliwe owe pokolenia, pokolenia — kończy autor — które otchnione czystem powietrzem przyszłości, oblane świetniejszym blaskiem jej słońca, żyć będą w tej bratniej spójności, w prawdzie, wiedzy, dobroci i swobodzie.“

LITERATURA UKRAIŃSKA.

III.

Powieść, czyli jak autor nazywa, romans *Powija*, którego w *Radzie**), wydanej przez M. Staryckiego w Kijowie wyszła tylko część pierwsza, zakrojony jest na szerszą skalę. P. Myrnyj rozpoczyna go opisem biedy na wsi. Wspólnemu, niewesołemu losowi uległa i rodzina Pyłypa Prytyki, składająca się z żony Pryśki i córki młodej, szczebiotliwej, wesołej dziewczyny—Chrysti. Prytyków napastuje „zborszczyk,“ egzekutor podatków Hryćko Suprunenko, „duk,“ „bohatyr,“ ale człowiek krzywego sumienia. Zawziętość, z jaką Hryćko prześladuje ubogą rodzinę, ma swoje źródło; oto zdaje mu się, że matka z córką „przyczarowali“ do siebie jego syna Chwedora, który rozkochał się w Christi. Pojechał do miasteczka Pyłyp, aby tam sprzedać trochę zboża i zapłacić podatek, ale z powrotem rozszalała się burza, zamieć z mrozem, pojechał tedy i nie wrócił więcej, zamarzł w drodze. Biedna Pryśka myśli o nim i płacze, aż nareszcie w „wołosti,“ z urzędu gminnego dochodzi do niej niewesoła nowina... Dowiaduje się jednocześnie, że przy Pyłypie znaleziono pięć rubli, nowe buty i jeszcze jakieś drobiazgi; butywróciła „wołost',“ a pięć rubli zatrzymano na podatek, chociaż ten wynosił tylko trzy ruble. Zbliżają się tymczasem święta, a Pryśka grosza przy duszy niema. Idzie więc do „wołosti“ upominać się o dwa ruble; wziął je Hryćko i oddać nie chce. I nie ma sposobu biednej kobiecie wydrzeć z gardła „bohatyrowi“ krwawicę swoją; dla niej sprawiedliwość nie istnieje.

Hryćko obrażony na Pryskę, że go śmiała przed sąd wójtowski zapozwać obmyśla zemstę: naprzód chce odebrać pole od niej tytułem, że nie ma komu chodzić koło niego, a podatek płacić trzeba. Znaleźli się sąsiedzi, którzy sprawę Pryśki podtrzymali— i pole przy niej zostało. Hryćko wpadł na inny sposób, ażeby nowy cios zadać biednej kobiecie. Spotkał on raz w miasteczku dymisyonowanego pisarza gminnego Zahnybidę i zaczął rozwodzić się przed nim z żalami na Pryśkę—niby wilk na owcę. Zahnybida sfałszował mu zobowiązanie Pyłypa, który, wracając owego dnia fatalnego do domu, pożyczył u ex-pisarza pięć rubli i obiecał przysłać mu do usług córkę swoją Chrystię. Tę kartkę oddał Hryćkowi, a on zaskarżył Pryśkę. Daremnie ta mówiła do Hryćka: Ty-ż menobeznoża rizesz! Priamo po serciu pyliajesz!—sędziowie według dowodów sądzili... Jedno z dwóch trzeba było wybrać: albo oddać pięć rubli — ale u Pryśki pięciu groszy nie było — albo posłać Chrystię do Zahnybidy. Na zapytania tedy sędziów, co z nią robić i jaki wyrok zapisać, Pryśka odpowiedziała z bólem, „chot' rozirwit mene ta i zjiżte!“

Hryćko więc zwyciężył, a powróciwszy do domu chwalił się tem przed żoną, ale Chwedor niechcący był świadkiem tych zeznań...

Na tem kończy się pierwsza część utworu.

Zastrzegliśmy już, że prace p. Lewickiego, również jak i p. Myrnoho, nie mogą służyć za probierz do ocenienia obecnego kierunku w powieściowej literaturze ukraińskiej, ale przedstawiają wiele bardzo ciekawego materyału dla studyów literackich wogóle. Pilnego czytelnika uderza ogólny wątek i tło opowieści: czerpanie treści z życia i stosunków ludu wiejskiego lub klas pracujących. Jest to okoliczność bardzo wielkiej wagi a pozwala wróżyć świetną przyszłość piśmiennictwu ukraińskiemu. Każde odrodziny rozpoczyna się od korzeni, bogactwo i siła nie rozłożystych konarów i świetnie ulistnionej korony, ale drobnych korzonków włoskowatych stanowi siłę z ziemią związanego organizmu, bo one go żywią. Zwrot w literaturze ukraińskiej do niezgłębionej krynicy poezyi i cierpień ludu jest wynikiem bardzo naturalnym; tam nie ma obecnie tej klasy czy warstwy narodowej, żyjącej życiem niezaz odrębnem zupełnie, bronionej przywilejem, mającej swój własny świat myśli i kultury, warstwy nazywanej u nas—szlachtą. Tam szlachta o-

*) O *Radzie* i zawartych w niej utworach podaliśmy w nrach 30 i 31 *Prawdy* r. z. Ponieważ jednak autor oświetla je z innej strony, zamieszczamy jego uwagi. *Red.*

Odprawiwszy ich i innych interesantów, oraz szlachtę czynszową, której zapowiedział proces za zaległą tenutę, zwrócił się ku niemu z pytaniem:

— A co powiesz, mój kochany?

— A to ja, proszę łaski wielmożnego pana słyszałem, że robota jest w Ostrodrapach przy pałacu, możebym ją dostał?

— Nie, mój kochany! Co było potrzebnego do zrobienia na miejscu, to już pan hrabia kazał z Warszawy sprowadzić... Dobrą mi myśl podałeś, panie Hilary, gdyśmy jechali dziś tutaj!... I mnie przychodziło nieraz do głowy, żeby to tak sprowadzić skąd zdolnego człowieka i kazać mu odlewać tryby do młocarni, piasty do fornalek... Ho, ho, toby dopiero zazdrościli nam inni obywatele!... Starych gratów surowcowych mamy dosyć, dużo tego się wala po śpichlerzach... Tanioby wypadło — to najważniejsza...

Łukarz szedł i szedł ulicą przez miasteczko, aż na sam skraj jego. W uchu mu coś szeptało „zdolny człowiek, zdolny człowiek.“ Oczy, nie wiadomo po co, goniły za toczącemi się kołami jakiejś fornalki folwarcznej. Na niej parobek siedział i trzaskał z bicza.

Nagle coś tak wstrząsnęło ślusarzem, że aż się z miejsca zerwał i krzyknął: „A żeby ci gardło pękło, dyabli synu, od tego trąbienia!“

Obejrzał się w około — izbę mrok wieczorny zalał zupełnie... Do uszu dolatywał czysty i donośny głos rogu myśliwskiego, który ciszę futoru zakłócił.

To syn dozorcy smolarni tak silnie dął w róg, gotując się na jutrzejszego zająca.

— Tfu!... czy cię licho... Toż do dozorcy miałem iść!...

Zacisznie było w skromnem mieszkaniu dozorcy. Pani domu cerowała i łatała jakieś stare odzienie męskie. Mąż sporządzał rachunki, ale gorączkowo jakoś, bo mu stała w duszy dzisiejsza rozmowa z dziedzicem. Pykał pośpiesznie i często z cybucha. Syn starszy wkładał do ładownicy naboje. Reszta rodzeństwa siedziała w kącie, opowiadając sobie bajki. Świerszcz swojem ćwirkaniem przekomarzał się zegarowemu „tik-tak.“ Z kuchni dolatywał przez sień co chwila śmiech kucharki i furmana...

Drzwi skrzypnęły i ukazał się Łukasz. Przywitał obecnych „dobrym wieczorem.“ Przyszedł z czemś ważnem, bo ciągle odchrząkiwał...

Wobec urzędu do popisu wojskowego miałby pozór człowieka czterdziestoletniego, choć mu było niespełna trzydzieści. Ramiona mu obwisły i naprzód czegoś się podały, jakby go dopiero co puścił kto z długiego a żelaznego uścisku. Między kolanami, gdy stopę przy stopie ustawił, spory pies, świeżo nakarmiony, mógłby swobodnie przeleźć. Cały trącił mocną wonią potu i metalu.

Tego wieczora nie zabawił długo u dozorcy i ani syn nie mógł go namówić na jutrzejsze łowy, ani ojciec do pogawędki. Odchrząknąwszy po, nie wiadomo już, który raz, rzekł:

— To ja, przyszedł prosić, czy pan nie pozwoli mnie na jakiś czas pieca, gdzie mosiądz topiłem w kuźni...

— To-to-to — ofuknął się popędliwie dozorca — wybrałeś się w sam czas!... Ani się spodziewaj! Nie chcę, żeby mi potem leśniczy od siebie, rządca od siebie wymówki robili, że ich na wydatki zbyteczne narażam. Nie chcę!... Dość już tego.

I zaperzył się mocno i rękami wymachiwał, jakby się od zmory jakiej opędzić chciał. Onieśmieliło to trochę ślusarza, ale wiedział, że nadąsanie się u dozorcy, prędko przemija. Czekał i doczekał się, aż go ten spytał, ochłonąwszy trochę:

— Na cóż ci piec? Wszak robotę już skończyłoś?

— Bo to, widzi pan, chciałbym spróbować, a nuż uda się surowiec stopić... Myślę sobie, nie święci...

— Co? Ty! ty to myślisz robić? Cha, cha, cha, coś nowego!...

— A cóż dziwnego, panie, nie święci garnki lepią... Spróbuję i ja. Widziałem fabrykę Szulca...

— Dobryś sobie! Noo! prędzej ja zostanę królem hiszpańskim, niż ty to potrafisz zrobić!...

Taki już miał zwyczaj dozorca. Za miarę możebności czegokolwiek uważał stanie się królem hiszpańskim.

derwała się od pnia rodzimego; jedna jej część dawno przylgnęła do politycznego i społecznego organizmu Polski, druga wynarodowiła się później, przy innych politycznych warunkach; pozostał tedy lud tylko, bo ten ani zginąć, ani wynarodowić się nie może.

I oto dziś z tego pnia, bez korony i liści, z korzeni ludowych, zapuszczonych w glebę ojczystą, wytryska nowy objaw żywotności i siły—literatura.

Ukraina była przez długi bardzo czas w takiem położeniu politycznem i społecznem, jak czesi, którzy nie mieli ani arystokracyi, czyli ściślej mówiąc, szlachty, ani klasy średniej — z małym wyjątkiem po miastach — ala mieli przygnębiony, pogardzony i pracujący w cichości dla każdego, kto tylko rozporządzał siłą — lud wiejski. Naraz z długowiekowego pnia, naprzód niedostrzeżona przez nikogo, potem szyderczo wyśmiana przez ślepych i głupich, prysnęła blada gałązka — nikt jeszcze nie domyślał się, że to gałązka oliwna. Jungman utrzymywał, że język czeski jest umarłym, jak grecki i łaciński, że może służyć tylko za przedmiot do badań lingwistycznych; Palacki pierwsze tomy *Historyi narodu czeskiego* pisał *po niemiecku* — a oto upłynęło kilkadziesiąt lat zaledwie i możemy już powiedzieć, że narody nie giną. Odrodzona literatura i narodowość czeska największą siłę poczerpnęła z ludu. Taką naturalną drogą poszła literatura ukraińska i niezawodnie, że wkrótce dojdzie do takich samych świetnych rezultatów, do jakich doszli już dziś czesi.

Powieść jej odznacza się wogóle wielką świeżością i nowością typów. W piśmiennictwie polskiem brak ludowej struny jest rażąco widoczny lub struna ta dźwięczy fałszywie, czy nienaturalnie. Prawie oderwało się ono od pnia ludowego i żyje odrębnem życiem szlacheckiego świata, który w naszym rozwoju społecznym i politycznym zajął wszystkie wybitniejsze stanowiska. Zaledwie nowsi lub postępowi pisarze czerpią z czystego źródła ludowego. Powyższy kierunek spostrzegamy u autorów naszych starej szkoły, którym za osnowę do opowieści służyły stosunki ukraińskie. Kraszewski np., mistrz w gawędzie, w opowiadaniu, w charakterystyce tego życia, którego sam jest latoroślą, w *Ostapie Bondarczuku*, w *Ulanie* jest ckliwy i sentymentalny. Widać, że jego postacie nie żywe, nie rysowane ręką pisarza, który wyszedł z łona ludu i zna go, ale kreślone piórem etnografa, badacza, spostrzegacza; ci intruzy w szlacheckiej powieści wyglądają tak samotnie, tak biednie, z otoczeniem nie związani wcale. Dalej pod tym względem poszedł T. T. Jeż. Jego np. *Handzia Zahornicka* jest taką, jakby była tłomaczoną z Lewickiego; życie ludowe drga u niego silnem tętnem, obrazy są malowane jakby z natury; to prawdziwa powieść ukraińska — po polsku.

Z tego, co powiedziałem nie wynika bynajmniej, aby tylko źródło ludowe mogło lub powinno zasilać literaturę. Pojmują to doskonale i powieściopisarze ukraińscy. Był czas, kiedy sfera ludowego życia, stosunków i pracy dostarczała jedynie tematów autorom ukraińskim. Dziś oni wiedzą, że lud nie jest jakimś odrębnym, samoistnym żywiołem, bo siła jego, dalszy rozwój umysłowy i moralny jest ściśle związany z rozmaitymi czynnikami społecznej i politycznej natury. Stary więc, jednostronny pogląd ustępuje miejsca daleko szerszemu w miarę urabiania się i kształcenia pojęcia o narodzie, t. j. o pewnej całości społecznej. W takim kierunku pisane są powieści p. Lewickiego *Chmary* i *Pryczepa*.

Utwory jego przedstawiają nam głównie stosunek ludu do czynników zewnętrznych, wyzyskujących go: żydów, panów i ciężarów politycznych. Żyd, odrysowany w *Burłaczce* — Lejba, lub też w *Mykole Dżeria* — Brodowski, to powszednie u nas typy tej pijawki, która każdą krew lubi i wysysa, a z wielką prawdą i życiem pochwycone wiernie. Autor zna żyda nie z opowiadań, nie z książki, ale z życia; zna go ze stosunku codziennego do ludu, przedstawia nie w monologach cudzych lub opowiadaniach, ale w akcyi. Przed czytelnikiem rozwija te sieci, które żyd zarzuca zarówno na „chłopa,“ do którego krzyczy: „ne tykaj na mene, bo ja tut pan,“ jak i na pana, któremu do ostatniej chwili upadku kłania się nisko. Straszne to obrazy tego codziennego stosunku! Ile upokorzenia, ile cierpień znosić musi lud wiejski od tej pijawki i nikt go nie broni; czyż on zmienił tylko jarzmo pańskie na żydowskie—zawsze pracując dla kogoś?

Charaktery „panów“ — Jastrzębskiego i Brzozowskiego zupełnie chybione. Widać, że to sfera prawie nieznana autorowi. Jastrzębskiego w domowem życiu przedstawia ani odrobinki nie innym jak—„pisarza wołosnego,“ u którego co dnia na stole gorzałka i przy każdej sposobności—samowar. Jastrzębski przecież syn bogatych rodziców, jego nawyknienia, obyczaje nie mogą razić gburowatością. Wyrafinowany amator koryneckich dziewic i haremu, otoczony zawsze najlepszem towarzystwem krewnych i przyjaciół ojca, np. Lewickiego razi nienaturalnem swojem brutalstwem. Ja nie utrzymuję przez to, że Jastrzębskich u nas nie było lub niema — i owszem, mamy ich podostatkiem; cudzy spokój i szczęście nie istnieją dla nich, bo ich samolubna dusza tylko swoją przyjemność ma na celu. Brzozowski wygląda trochę inaczej—to kat pańszczyzniany; dla niego nie ma ludzi, są tylko robotnicy. Odgrywa on wprawdzie w powieści *Mykoła Dżeria* rolę drugorzędną, jest tylko powodem nieszczęścia całej rodziny, ale również jak i Jastrzębski, przedstawiony gburem, katem, tyranem. Byli i tacy, ale w warstwie najniższej, a Brzozowski przecież magnat. U takich panów surowość względem włościan miała jakiś odrębny charakter, odznaczała się pewną finezyą. W nich raził brak sumienia: po krwawych rozprawach wracali do towarzystwa dam z uśmiechem na ustach; nie ogłady więc, ale duszy im brakowało. Brzozowski zaś wygląda w powieści jak ataman w ukraińskiem gospodarstwie.

Przed oczyma moimi stają znani mi Brzozowscy z niedalekiej pańszczyznianej epoki, przed którymi drżało niegdyś na sam widok ich moje serce dziecinne...

P. Lewicki wie dobrze, że lud wiejski cierpiał od panów i żydów — i temu przedmiotowi poświęcił on krótką, ale z wielkim talentem napisaną powieść—*Dwi moskowky*. Za temat do opowiadania posłużyło mu życie żon żołnierzy, będących w czynnej służbie, nazywanych przez lud *moskowkami*. Opowiadanie sięga jeszcze czasów przed wprowadzeniem reformy wojskowej, obowiązującej wszystkich do służby w szeregach. Charakter Hanny sympatyczny i przez cały długi szereg cierpień bierny prawie. Raz tylko nabrzękłe bolem serce matczyne zdobyło się na krok stanowczy. Syna jej jedynego Iwasia, dziesięcioletnie chłopię wzięto „do kantonistów.“ Wiadomo, co to była za instytucya dawniej: tam zabijano młodzież, albo koszlawiono jej charakter, wychowując dziką wiejską dziatwę w po-

---

Jakiś czas jeszcze kpił ze ślusarza i nie pozwalał pieca, w końcu przystał na prośbę.

Cudny był ranek, kiedy Łukasz zabrał się do topienia surowca. Bór cały tonął w oparach, rumieniących się już od słońca wschodzącego. Woń żywicy i brzóz przemocą się wdzierała do nosa i upajała płuca. Las aż drżał od mnóstwa głosów cietrzewich, bełkocących: „czu-szy! czu-szy!“

Serce Łukasza rwało się do lasu, bo ojciec jego był gajowym u starego pana. Nim ślusarzem został, nieraz po borach sosny powtórzyły jego nawoływania „o tu byłbył-był!“ na psy zbłąkane.

Ale nie poszedł teraz. Dął miechem, sypał węgle do pieca i sypał i znowu dął. Pot mu gradem się toczył, oczy zalewał. Nie pokazała się wszakże ani kropla stopionego kruszcu. Niechętnie i posępnie spoglądał na ludzi, co na robotę ze wsi poprzychodzili i zaszli do kuźni lulki zapalić. Gapili się i pytali, co robi. Gniewało go to. Lubił się pochwalić przed każdym i każdego zadziwić. I teraz chętnie by to uczynił, ale czem się tu chwalić i czem zadziwiać?

Nieopodal od kuźni dozorca kazał robotnikom rozniecić ognisko duże i nawrzucać w nie starych kawałków surowca i kamieni. Z przeszłorocznej kompanii zostało jeszcze kilka niesprzedanych beczek smoły mocno stężałej przez zimę. Rozgrzane kamienie i kawałki surowca miano pogrążać w smołę, żeby ją rozrzedzić.

— Patrz, patrz, Haponie! Oo!... Żelazo się topi!... Jak Boga kocham topi...

— Hej, Łukasz! A chodźno tutaj! Zobacz! — były słowa dozorcy.

Ślusarz już był przestał robić miechem i nasapać się nie mógł, zziajany bardzo. Wybiegł z kuźni i — zgłupiał!

Koło ogniska stał dozorca i w kleszczach kowalskich trzymał kawałek surowca rozpalony aż do białości i rozpływający się już. Był rad widocznie z tego, iż wczorajsza jego wróżba o królu hispańskim sprawdziła się.

— A co, Łukaszu, nie mówiłem wczoraj, że nic z twojej roboty nie będzie? Kiedyś nie ksiądz, nie wdziewaj sutanny!

— Tak, tak, panie Łukaszu — wtrącił któryś z robotników — spociłeś się, jak mysz, a tu żelazo samo się stopiło!...

— Stopiło się, bo stopiło! Alboż, glupi, nie wiesz, że nasz pan dozorca znachor? — napomniał pierwszego inny robotnik.

— Ech, panie, jak mi miało się udać, kiedy nie znałem tego sekretu, o którym mi niemiec gadał?

— No? Jakiż to znów sekret?

— A prosta rzecz!.. Kiedyż-bo nie wiem, co to był za proszek, którym niemiec posypuje surowiec, kładąc go do ognia, żeby się prędzej stopił...

Musiały to być niewyraźnie zapamiętane wyrazy fabrykanta, jakieś niewyraźne przypomnienie sobie chemicznych środków, których zwykle oświeceni odlewnicy używają.

— Śmiej się z tego! — zauważył dozorca, który pomiędzy skromnym zbiorem książek miał stary podręcznik technologii i czytywał go często — śmiej się z tego!... Niemiec musiał mieć piec nie taki, jak ten i w samej rzeczy używał proszku, ale tybyś nie zrozumiał, co to za proszek... Zresztą i nie dostałbyś go tutaj nigdzie. Aż z laboratoryum jakiego chemicznego trzebaby go sprowadzać...

Po raz drugi w życiu swojem biedny Łukasz musiał oczy wytrzeszczyć. Uwaga dozorcy zrobiła jednak na nim wrażenie, bo powtarzał pod nosem: „labatornia chiniczna.“ Powtarzał te dwa wyrazy w takiem brzmieniu, bo tak wszyscy w Drzemlinie nazywali jeden budynek, co dawniej służył do wypędzania spirytusu drzewnego.

Cały dzień stracił nadaremnie! Zbity i zgryziony usiadł na kłodzie przed kuźnią i wodził bezmyślnie okiem po ludziach, którzy się snuli koło smolarki, biegając tam i sam, po domku dozorcy, po strzępach obłoków, co naksztalt grzywy końskiej szeroko się rozpostarły na niebie. Na trawniku, przed ogródkiem pani dozorczyni, działa się rzecz zwyczajna. Stary pies schował pod płotem kość niedogryzioną, a sam usiadł na uboczu. Młodszy dostrzegł i zaczął skradać się do niej. Stary kundel sierść najeżył. Warcząc podskoczył ku skra-

gardzie właśnie tej sfery, z której ją gwałtem wyrwano. Widząc Iwasia w nędzy, Hanna porwała go z tego zakładu, czy szkoły i lasami i stepem, chowając w dzień po jarach, a idąc w nocy, uciekała jak wilczyca z dzieckiem. Syn był jej jedyną nadzieją i osłodą życia. Jakże się zawiodła gorzko na nim! Powrócił kiedyś odwiedzić ją, ale wrócił spaczonym, wykolejonym, napojony fałszywą ambicyą o swojej wyższości, więc starej matce przyniósł tylko nowe cierpienia, nowe łzy. W ubóstwie niewypowiedzianem, samotna, otoczona tylko opieką Maryny zakończyła Hanna długą walkę z życiem. Ciężki był los „moskowok“ na wsi. Odbierano od nich ojców i synów bez litości w imię prawa służby publicznej, a nie myślano wcale, już nie mówię o tem, ażeby rany bolące zagoić, ale żeby przynajmniej resztki życia zabezpieczyć od walki z nędzą. Takie charaktery jak Hanna, przyrosła do swego kawałka ziemi i chaty, przynajmniej w wiosce rodzinnej składają do spoczynku skołatane głowy; ale są natury żywsze, które pośród swojej samotności nie widzą celu w życiu, których energia wewnętrzna popycha naprzód, do celu jakiegoś niewiadomego, byle zdobyć inną sferę, inne otoczenie, gdzie możnaby boleść ukrytą zapomnieć. Taką właśnie była Maryna. Młodość jej przeszła wesoło, ale serce nie zostało zaspokojonem; i oto dawne, jasne nadzieje więdły i opadały jedne po drugich, jak kwiaty mrozem zwarzone, a cień Wasyla, którego kochała cicho, stawał przed nią coraz częściej. Nic więc dziwnego, że daje się namówić i idzie szukać szczęścia czy zapomnienia do Kijowa. „Pidu — mówi — wteczu wid łycha! Ne z bisa i ja chytra! Ne dam sia ja tomu łychu...“

Poszła — i smutne życie zakończyła na ulicy.

W *Mykole Dżeria* postacie Nimidory i Mokryny wielce przypominają Hannę i Marynę. Nimidora od Hanny, a Mokryna od Maryny różnią się tylko inną sferą życia, innem otoczeniem, ale bynajmniej nie charakterami. Nimidora taka sama łagodna, kochająca i bierna jak Hanna, a w Mokrynie gore ten sam płomień namiętności, który powoli spalił całe życie Maryny.

Powija, powieść wychodząca tak znacząco po za obręb zwyczajności, że nietylko w rusińskiej literaturze zdolną byłyby zjednać autorowi wielki rozgłos i uznanie. Tu świat wiejski przedstawiony jest z taką siłą, talentem, artyzmem z analizą psychologiczną charakterów tak skończoną, że z przyjemnością tylko można ten nowy talent powitać. Autor jest panem pozycyi, jeśli można tak powiedzieć. Świat, który przedstawia, zna z taką dokładnością, opowiada niewesołe jego dzieje z taką swobodą, językiem tak naturalnym, jak to dotychczas nie zawsze się zdarzało nawet p. Lewickiemu, który jest wielkim mistrzem w ukraińskiej prozie. Część pierwsza powieści poświęcona jest scharakteryzowaniu stosunków gminy, wynikających z jej autonomizmu. Miałem już sposobność wypowiedzieć przy innej okoliczności, że autonomiczność naszej gminy wiejskiej wyraża się bezkarną możebnością robienia wszelkich nadużyć. Tę właśnie cechę urzędu gminnego przedstawia p. Myrnyj w *Powiji*. Hryćko Soprunenko, „zborszczyk“ — to łotr jawny, który pod tytułem wykonywania sprawiedliwości razem ze starszyną i „pisarzem wołosnym,“ krzywdzi i znieważa ubogą bracię. Sprawiedliwość u nich służy za pokrywkę do przeprowadzenia osobistych zamiarów, chociażby zemsty na bezbronnej kobiecie. I za cóż ta zemsta? Oto, że Pryśka śmiała upomnieć się o należne jej dwa ruble zatrzymane przez Soprunenka, o to, że syn Hryćka Chwedor pokochał córkę Pryśki wesołe, niewinne, dobre dziecko — Chrystię. Ojciec i matka Chwedora utrzymują, że Pryśka „przyczarowała“ go... Ten świat ciemny z ludźmi o dzikich instynktach jak Hryćko, to ta arena na której o kawałek codziennego chleba walczy Pryśka, zwyciężona nareszcie fałszerstwem dymisyonowanego pisarza — Zahnybidy. To zestawienie kontrastów w sferze codziennego życia ludu jest niezmiernie proste, a jednak przerażające prawdą. P. Myrnyj, rysując dosadnemi farbami obraz gospodarstwa domowego gminy, jakby mimowoli nasuwa myśl, że lud wiejski zatracił instynkty samorządu politycznego i społecznego, że reprezentuje tylko ciemną, bierną prawie zawsze masę, w której kilku „prowodyriw“ lub „hawkuniw“ — jak ich lud nazywa — rej wodzą i wyzyskują wszystkich. Te nieme obrazy, rysowane z natury, wołają głośno: światła, światła, światła...

P. Myrnoho charakteryzuje nietylko plastyczność obrazów, prawda, spokojny ton opowiadania, ale również prawdziwość, realność obrazów, rysowanych bez żółci z pogodą umysłu, jaką odznaczają się ostatnie dwie powieści E. Zoli. Tego nie można powiedzieć o p. Lewickim. Ile razy on dotyka stosunku włościan do „panów“ traci równowagę, przeważa u niego dawna, fałszywa nuta, dawny jednostronny pogląd, że — wszystko złe od panów — choć nikt może lepiej od p. Lewickiego nie wie, że tak nie jest. Opisy przyrody, charakteryzowanie zewnętrzne niewieścich typów, porównania grzeszą u niego jakąś sentymentalną melodramatycznością, przechodzącą niekiedy w pospolitą ckliwość — czego u p. Myrnoho ani śladu nie widać.

F. Rawita.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, kwiecień.

Sprawozdanie Towarzystwa imienia K. Marcinkowskiego.—Katedra filologii romańskiej. — Dzieło panny Mitchell.—„Im neuen Reich“ mają truć dzieci. — Słówko o Grecyi nowożytnej.—Prawnik moralistą a teolog powieściopisarzem.—Em. Geibel.—Mleko duchowne.

Rok temu, w nrze 17 *Prawdy*, zamieściłem krótkie sprawozdanie z czynności Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia Karola Marcinkowskiego za r. 1882; obecnie otrzymuję takież sprawozdanie za r. 1883, istnienia Towarzystwa czterdziesty trzeci, i dzielę się niem z czytelnikami.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy pomyślny objaw, sformułowany na czele sprawozdania: że rok ubiegły zaliczyć należy do nader pomyślnych; tem przyjemniej jest nam o tem dowiedzieć się, że kilka miesięcy temu dzienniki poznańskie donosiły, że zarząd Towarzystwa, znajdując się w trudnem położeniu, musiał zastawić część papierów funduszu żelaznego i zakończył rok deficytem 5000 marek. Sprawozdanie w sposób następny tłomaczy chwilowe swe kłopoty: ponieważ seminarya duchowne oddawna są w Poznańskiem zamknięte, a księży potrzeba, więc młodzież, któraby przy dawnych warunkach mogła się kształcić kosztem rządu, musi tymczasem szukać nauki teologicznej w obcych seminaryach i uniwersytetach; jakoż w r. 1882, na utrzymanie 21 takich kandydatów do stanu duchownego, Towarzystwo wydało około 8

---

dającemu się, który stchórzył i ogonem jął machać na znak poddania się.

I ślusarz, nie wiedzieć po co, wpatrywał się w tę scenę z zajęciem, nie będąc badaczem obyczajów zwierząt.

Nazajutrz lepiej się powiodło Łukaszowi. Choć poprawił coś w piecu, ale z początku omało się nie skończyło tem, co wczoraj. Dął i węgle dokładał — ani rusz! Byłby stracił nadzieję.

Schylił się ku wylotowi pieca, aż tu ujście całkiem zatkane żużlem jakimś. Porwał lufę od strzelby, danej mu do naprawy, i nie myśląc długo, tak nią w ów żużel dłubnął, że, jak po wydobyciu korka, kruszec roztopiony tuż mu koło nóg lunął pąsową strugą.

Choć tem szturgnięciem cudzą lufę zalutował do połowy, ale jakże był rad, że cel osiągnął. Tak w upojeniu zwycięstwem, zapomniał się, że porwawszy czapkę z głowy, chciał nią, niby konwią, zaczerpnąć kruszczu płynącego z pieca. Z czapki popiół tylko został.

Spostrzegłszy w pobliżu kuźni dozorcę, który w kapeluszu słomkowym o okrutnem skrzydle i z fajką, wyładowaną funtem może tytoniu, dawał rozkazy robotnikom, zaczął wykrzykiwać:

— A co, panie? I ja teraz taki dobry, jak szołdra niemiec!... Stopiłem! Surowiec się stopił!

Nie uwierzył dozorca, aż na miejsce przyszedł i niziutko się nachylił nad surowcem zastygłym. Takiej już był natury. Niechętnie przyjmował to, co według jego przepowiedni nie miało się stać, a stało się. Jeśli mu nawet coś samo w oczy się rzucało i mówiło: „oto mię masz, oglądaj,“ i wtedy, oglądał wprawdzie, ale koniecznie musiał przypiąć łatkę jakąś.

Teraz wyraźnie widział ślady, iż Łukasz stopił uparty kruszec, ale powiedziawszy: „hm, a cóż, dobrze“ — swoim zwyczajem przecież dodał — „ot może z pomocą bożą i więcej co potrafisz zrobić.“

Ślusarz zawsze wielce szanował Boga, bo do kościoła chodził, spowiedź odbywał, słowem, był pobożny, ale dziś jakoś mocno wziął na kieł. Zdarza się to przecież u ludzi. Inaczej uczeni łamaliby sobie głowy, skąd i po co istnieje w językach wyraz „bluźnierstwo.“ Łukasz, poczuwszy zapewne bezsilność wróżby dozorcy, posunął się, chociaż raz w życiu, dalej trochę w powątpiewaniu.

— Co tam Bóg!.. Ja i sam sobie poradzę!

— A ja ci powiadam, że kiedy on ci pomoże, to zrobisz, a nie, to jutro o tej porze, jak rak gwizdnie w norze, uda ci się cokolwiek odlać!..

Gwizdanie raka w norze uważał dozorca tak samo, jak stanie się królem hiszpańskim, za niezbędny warunek, iżby coś, uznanego przezeń za niemożliwe, mogło się stać.

Czekało Łukasza dużo jeszcze trudów. U wyćwiczonych odlewników wykonanie dobrej formy i wlanie do niej metalu należało do najtrudniejszych rzeczy, a cóż dopiero dla takiego samouka, jak Łukasz.

Trudno się opędzić człowiekowi złudzeniom, jeśli nie wie, że to, co mu się w głowie często roi i funta kłaków nie warto. Trudnoż było i ślusarzowi biednemu wiedzieć, że on roi tylko. Morał to tego świata, a raczej tych ludzi, co wiedzę, mozolnie stworzoną przez innych, zaprzęgli do wspaniałego rydwanu swojego i — haj-że! po grzbietach brzemieniem trudów obarczonych, wołając w swej szalonej gonitwie po skorupach starej ziemi: „praktyczność! praktyczność!“

Łukasz swą praktyczność rozwinął w całej pełni, gdy mu Szulc tajniki zaprzęgania wiedzy do swego rydwanu opowiadał...

Jemu się teraz serce trzęsło z radości, a w myśli kołowało. A jaka moc zamiarów różnych, niby gromada podochocona do szynku, wpadła mu zaraz z hałasem do duszy. Już mu w głowie były różne facyendy z kumami, u których widywał nieraz garnki, patelnie, dzbany lane z surowca. Przydałyby mu się i bardzo. Pewny był, że już będzie odlewać i odlewać bez końca, czego tylko ludzie zapragną sobie.

(D. c. n.).

tysięcy marek, a w roku ubiegłym, na 25 kandydatów, około 10 tys. m. Dyrekcya cieszy się nadzieją, że nastąpi wkrótce zgoda rządu pruskiego z Rzymem i znaczna ta suma przestanie budżet Towarzystwa obciążać. Uprzedzając zaś zarzut niewłaściwej hojności dla teologów, z ujmą młodzieży innych zawodów, powiada: „mieliśmy w tej sprawie, oprócz głównego względu na dobro publiczne, jeszcze specyalny poniekąd obowiązek do spełnienia: mieliśmy do spłacenia nieznaczną kwotą owego długu, do którego się Towarzystwo poczuwa wobec naszego duchowieństwa, które od początku samego aż do tej chwili, przykładem swoim, zachętą, czynnym udziałem w jego zarządzie i sowitymi datkami, było i jest główną jego podporą.“ Skutkiem alarmujących artykułów w dziennikach, posypały się obficie datki nadzwyczajne, tak iż dochód za rok ubiegły wyniósł 67,000 marek, czyli o 10 tys. marek więcej, niż w r. 1882, ma się rozumieć, zastawiono papiery wykupiono, a deficyt umorzono.

Powtórzył się jednakże i w r. 1883 fakt, ujawniony już w latach ubiegłych, że Towarzystwo odmówić musiało dwom trzecim proszących o stypendya lub wsparcie doraźne; czyli, mówiąc innemi słowy, widać, że wtedy dopiero instytucya im. Marcinkowskiego w zupełności odpowiedziećby mogła zadaniu swemu i potrzebie prowincyi, gdyby posiadała trzy razy tyle, niż ma, dochodu, t. j. gdyby mogła corocznie rozporządzać sumą około 200 tys. marek.

Z ogólnej liczby 106 stypendystów, było medyków 37, teologów 25, prawników 3, filologów i matematyków 14, aptekarzy 9, poświęcających się chemii lub zawodom praktycznym 18.

Składki nadzwyczajne wyniosły około 16,000 m.; o niektórych osobach, składających różne kwoty do funduszu żelaznego, czytamy takie np. wzmianki: „Osoba, która do śmierci nie chce być nazwaną, 6000 marek;“ „osoba, która zabroniła wymienienia swego nazwiska, 3000 m.;“ i jeszcze jedna, „która nie życzy sobie być nazwaną, 15,000 m.“

Ogółem, jak wiemy, przychodu było około 67,000 m.; wydano zaś przeszło 52,000 m. Młodzież, pobierająca wsparcie, kształciła się przeważnie w Wrocławiu, Gryfii, Berlinie i Würzburgu (fakultet teologiczny katolicki).

Nie przeczuwałem, pisząc w jednym z poprzednich listów o dotkliwym braku u nas studyów romańskich, że utyskiwania moje tak prędko i pomyślnie ustąpią: dowiaduję się z pewnego źródła, że wszechnica krakowska wkrótce zapełni ten brak, otwierając katedrę odpowiednią; już nawet poczyniono kroki ku pozyskaniu zdolnej osobistości do wykładów; tymczasem nie wolno mi jej wymienić.

Archeologowie mogą się ucieszyć. Oddawna uczuwanemu przez nich brakowi dobrego podręcznika archeologii starożytnej, któryby streszczał i sumował wszystkie najnowsze odkrycia i badania w tym zakresie, zapobiegła panna Łucya Mitchell, amerykanka, wykształcona ostatnimi czasy na uniwersytetach niemieckich. Dzieło jej, ogłoszone w końcu roku zeszłego w Nowym Yorku, bardzo gorąco chwalą recenzenci niemieccy, a tutejszy profesor archeologii, von Duhn, znany dobrze w świecie uczonym, uważa *A history of ancient sculpture* za wyborne, najlepsze w swoim rodzaju kompendyum. Wygląda ono bardzo ładnie; zawiera mnóstwo drzeworytów w tekście i ma sobie dodany spory atlas wzorów i zabytków sztuki w większym rozmiarze fotografowanych. Autorka w przypisach i przytoczeniach, zamieszczonych pod koniec dzieła, wykazuje ogromne oczytanie, a w ciągu całej książki, jak zapewniają znawcy, daje dowody wytrawnego sądu i umiejętności w wyborze i ugrupowaniu szczegółów. Przechodzi ona w krótkości dzieje sztuki wschodu (Egipt, Chaldea, Asyrya, Persya, Fenicya, Azya mniejsza); główną część zajmuje sztuka grecka (str. 124—610); ostatnie rozdziały ogarniają zabytki rzeźby staroitalskiej i rzymskiej aż do Konstantyna. Dzieło nie tanie: tutaj, z kosztami sprowadzenia, każą sobie płacić za nie około 70 marek.

Otóż obok dobrej lingwistki, pani Karoliny Michaelis, staje druga kobieta, poważnie, gruntownie uczona. Radbym był do tej pary dołączyć trzecią panią czy pannę Irmę von Troll-Borostyáni, która świeżo w Zurychu ogłosiła książkę p. t. *Im freien Reich, ein Memorandum an alle Denkenden und Gesetzgeber*; autorka rozwodzi się tam nad potrzebą zaprowadzenia równości płci, łatwych rozwodów, wychowania dzieci przez państwo, wytępienia rozpusty i innych brzydkich rzeczy; wreszcie zastanawia się nad kwestyą przeludnienia i doradza. dla zapobieżenia mu, niewinny środeczek: (str. 264) „łagodnem, niebolesnem westchnieniem chloroformu usypianie noworodków na wieki...“ Bagatela! Po takiem *dictum acerbum* niech mi wybaczą panie Michaelis i Mitchell, że po ich nazwiskach imię kanibalki Irmy zapisałem: uczyniłem to tylko dla kontrastu.

Dzięki tysiącom pracowników, do których szeregu panna Mitchell obecnie wstąpiła, posiadamy sposoby dokładnego obeznania się z życiem Grecyi starożytnej i z pewnością o jej dziejach i sztuce więcej wiemy, niż swojego czasu wiedzieli o tem taki Herodot lub Pauzaniasz, albo niż np. dzisiaj wiemy o Grecyi nowożytnej. Odległość jej do reszty Europy, niedostępność języka, małe znaczenie polityczne i przemysłowe— wszystko to wpływa na szczupłość lub zupełną nieobecność naszych wiadomości o potomkach wielkiego narodu. Chcąc zwiać tę grubą zasłonę ciemności ze swej ojczyzny, pan Koliatsos, grek-patryota rozpoczął w ostatnich zeszytach dwutygodnika *Grenzboten* szereg artykułów o stanie obecnym ojczyzny swojej. Wiadomo, iż odrodzony jej żywot rozpoczął się lat temu około sześćdziesięciu; samo przez się tedy nasuwa się piszącemu ciągłe porównywanie obecnego postępu do smutnego stanu za czasów ciemięstwa tureckiego. Pan K. zapewnia, że postęp ten posuwał się i posuwa olbrzymimi krokami. Oto parę faktów z zajmującej pracy jego. Stolica, która około r. 1830 składała się niespełna z trzechset lichych domków, dzisiaj jest pięknem miastem europejskiem, z ośmdziesięciotysięczną ludnością. Środki komunikacyi, które za panowania półksiężyca były w stanie zupełnie barbarzyńskim, dzisiaj wcale dobrze są urządzone. W pierwszych latach panowania króla Ottona poczta do Aten przybywała parę razy na tydzień; jedyny na całe miasto pocztylion zabierał wszystkie listy, wychodził na rynek i wywoływał kolejno imiona adresatów: listy w ciągu trzech dni nieodebrane bez ceremonii palono. Dzisiaj poczta urządzona jest z akuratnością niemiecką i zapewne listów poste-restante nie rzuca w ogień. Uniwersytet ateński, który w r. 1839 liczył pięćdziesięciu słuchaczów, ma ich obecnie, na czterech wydziałach, trzy tysiące; rzecz godna uwagi, że większość ich pochodzi z prowincyi, zostających jeszcze pod berłem padyszacha. Dziennikarstwo rozwija się także: od r. 1821, gdy pierwszy dziennik grecki się ukazał, liczba gazet i czasopism wzrosła niepospolicie: w samych Atenach wychodzi 54 dzienników politycznych. Drukarń jest 122, które rocznie do tysiąca dzieł ogłaszają. Handel, szczególnie morski, wzmógł się potężnie: w r. 1832 istniało statków greckich około tysiąca, obecnie liczba ich przewyższa jedenaście tysięcy.

Zima ubiegła wzbogaciła piśmiennictwo niemieckie wielu ważniejszymi nabytkami. Wkrótce nastąpi pewna cisza w świecie wydawniczym, będziemy więc mieli więcej wolnego czasu na bliższe przyjrzenie się lepszym publikacyom. Dziś choć pokrótce zaznaczymy wydatniejsze nowości.

Imię Iheringa zna czytelnik jeśli nie z sławnego dzieła jego o duchu prawa rzymskiego (*Geist des römischen Rechts*), to przynajmniej z pięknych studyów obyczajowych, które w latach ubiegłych drukowała *Prawda*. Otóż przedsięwziął ten profesor giętyngski nową, obszerną pracę, noszącą dość niejasny tutuł: *Cel prawa*, a raczej cel w prawie (*Das Zweck im Recht*). Tom pierwszy doczekał się obecnie drugiego wydania, a raczej zupełnego przerobienia i pomnożenia; jednocześnie z nim ukazał się spory tom drugi, bardziej jeszcze od pierwszego zajmujący. Zdaje mi się, że autor słuszniejby mógł nazwać dzieło swoje zbiorem rozpraw z zakresu etyki stosowanej, czy jak ją Spencer nazywa, etyki względnej. Rozpatruje on tutaj, szczególnie w tomie drugim, moralną raczej niż prawną stronę, stosunków społecznych, nie pomijając takich nawet, o których zwykle w książkach czysto naukowych niema mowy, które się pospolicie uważają za coś tak zwykłego, że tylko powieściopisarze przygodnie je podnoszą i analizują, a które jednakże wypełniają znaczną część żywota naszego, jak np. panowanie i znaczenie form towarzyskich, mody, gościńców, pojedynków itd. Rozprawki te Iheringa porównać można ze szkicami Spencera, chociaż zapewne nie dorownywają im w głębokości i zwięzłości sądu. Świetny styl, oryginalność spostrzeżeń i nowość przedmiotów, znamionują studya autora niemieckiego; czasami pod temi zaletami kryje się paradoks lub zbyt pospieszne uogólnienie — ale to tylko czasami; większość poglądów jego zajmuje, przekonywa i pobudza do myślenia, a nieraz otwiera oczy na taką stronę przedmiotu, który się tysiąc razy widziało, ale właśnie nie z tej strony.

Otóż tedy prawnik, który mimo wiedzy i woli przedzierzga się na moralistę i psychologa społecznego. A oto teolog przerażający się na starość w powieściopisarza— czy i ten mimo woli i wiedzy, nie wiem. Mówię tu o profesorze tutejszej wszechnicy, Hausracie, który na powieściach podpisuje się z angielska „George Taylor.“ Jako teolog, znany jest on z wielu studyów nad Nowym testamentem, oraz z obszernego życiorysu Dawida Straussa; jako powieściopisarz historyczny, ogłasza w ciągu kilku lat ostatnich trzecią już powieść p. n. *Jetta*. Jest to opowiadanie z czasów walki barbarzyńskich alemanów z rzymianami; temat nie nowy, wyzyskiwany przez Dahna, Freytaga, Scheffla i wielu innych; mniemane zepsucie rzymskie i mniemana świeżość i czerstwość barbarzyńców dozwalają wyobraźni poetów wyciągać efekty światłocieniowe z takich nawet epok, o których życiu bardzo mało wiemy. Recenzenci Jetty bardzo ją chwalą, tak jak chwalili poprzednie opowiadanie z czasów reformacyi p. n. *Klytia*. Mnie się zdawało i zdaje, że ani rzymianie nie byli tak zepsuci, ani dzikie hordy germańskie nie były tak idealne, jak to się zwykle przedstawia w książkach, pisanych przez dzisiejszych potomków owych barbarzyńców: mohikan jest mohikanem, pomimo jasne barwy, jakiemi go maluje Cooper; rzymian oczernili pierwsi chrześcianie; o tem wie każdy, kto się nie daje obałamucić. Bądź co bądź, rzecz pewna, że Hausrath-Taylor jest człowiekiem uczonym i utalentowanym, a skutkiem tego tło dziejowe powieści jego jest wiernie w szczegółach oddane, a opowiadanie czyta się przyjemnie.

Umarł niedawno w Lubece największy może w nowszych liryków niemieckich, Emanuel Geibel. Poezye jego rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy; niektóre zbiory (jak np. *Gedichte*) doczekały się blisko stu wydań; odznaczył się też on jako wyborny tłomacz liryków francuskich i hiszpańskich, oraz probował sił swoich, z mniejszem powodzeniem, na polu dramaturgii. Miał lat 69; pobierał pensyę dożywotnią od

króla pruskiego. W przekładzie polskim posiadamy ze zbiorów poezyi jego tylko *Zeitstimmen*, tłomaczenie, a raczej naśladowanie Minasowicza; niektóre pojedyncze utwory rozsiane są po czasopismach. Możeby warto było wybrać lepsze przekłady i ogłosić w oddzielnym tomiku?

Bardzo nas zajmującą nowością jest świeżo ogłoszony w Bonn nieznany u nas, jeśli się nie mylę, zabytek mowy polskiej z XVI wieku: *Mleko duchowne*, przekład Trepki z tłomaczenia łacińskiego Trzycieskiego; autorem tego Mleka był nie Wergieryusz, jak dotąd mniemano, ale Jan Valdès, hiszpan neapolitański. W następnym liście podam bliższe szczegóły o tem „Lac spirituale“ i o zapowiedzianych pamiętnikach Heinego, którym tymczasem tylko tę wzmiankę poświęcam.

Jan Karłowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dr. E. Krzymuski. **Zasady nauki o usiłowaniu przestępstw.** Warszawa, 1884.

Pojawienie się książki prawnej należy do rzadkości w literaturze naszej. Nie tu miejsce badać, czemu uczeni prawnicy nasi tak mało udzielają się czytającej publiczności, podczas gdy w Niemczech np. (Holtzendorf, Jhering i inni) znajdują czas na prowadzenie wykładów uniwersyteckich, branie udziału w parlamentach, a przytem wszystkiem redagują niejednokrotnie kilka naraz pism peryodycznych oraz wydają najrozmaitsze dzieła ściśle umiejętne lub popularne. U nas cała działalność naukowo-prawnicza zamyka się i przebrzmiewa bądź w murach sądowych, bądź w aulach akademickich. Zaznaczając tylko fakt sam, powiemy, że każdy prawnik polski w jakibądź sposób przerywający tę głuchą ciszę, próbujący pracy swojej szersze zakreślić kręgi, przez to samo już jedna sobie pewnego rodzaju zasługę. Do prawników takich z młodszej generacyi zaliczyć wypada p. Edmunda Krzymuskiego, docenta uniwersytetu jagiellońskiego, który w ciągu krótkiej swojej stosunkowo karyery nauczycielskiej kilka już wydał książek. Ostatnia z nich, najnowsza, nie należy do najudatniejszych. Sam tytuł dostatecznie wskazuje, o co w niej autorowi chodziło. Podana tu jest szczegółowa charakterystyka usiłowania przestępstw w odróżnieniu od przestępstwa dokonanego, dalej idą uwagi historyczne, uwagi o karygodności usiłowania przestępstw i karze wogóle a wreszcie o tak zwanych przez p. K. usiłowaniach *udolnych, nieudolnych* i *zatamowanych*. W tak rozwiniętym temacie, oryginalnego, samodzielnie obmyślanego, nie znajdujemy nic. Jestto po prostu dosyć zręczna kompilacya z kilku autorów niemieckich, ubarwiona częstemi wycieczkami polemicznemi i obficie rozsianymi pozorami panowania nad przedmiotem. Że tak jest, najlepiej przekonywa okoliczność, iż p. K. dyskretnie pomija wszystko, co z rzeczy krajowych ma związek z obraną przez niego dziedziną. Rozprawiając szeroko o t. zw. Konstytucyi kryminalnej cesarza Karola V (*Carolina* z 1533 r.) i o prawodawstwach partykularnych niemieckich, ani jednem słowem nie wspomina o postanowieniach Statutu Wiślickiego, o projekcie Andrzeja Zamojskiego z r. 1778 i o kodeksie kryminalnym uchwalonym na sejmie z r. 1818. Na dwustu blisko stronnicach książki swojej walcząc lub zgadzając się z kilkudziesięciu teoretykami niemieckimi, francuskimi i włoskimi, autor jakby nie wiedział wcale o istnieniu odnośnej literatury polskiej. Nic wie o Czackim, Bandtkem, Hubem, Maciejowskim, Spasowiczu, a jakby dla formy tylko wymienia jedynego p. Budzińskiego. Czyby istotnie prace tych uczonych żadnych nie nastręczały mu spostrzeżeń? Nie przypuszczamy. Łatwiej wszakże przetłomaczyć coś, z wielu zdań cudzych wybrać kilka, aniżeli samemu rozliczne wertować księgi i wydawać sąd o rzeczach, które z powodu przystępności języka może mniej więcej ocenić każdy. To zdaje się nam być prawdziwem źródłem owej wstrzemięźliwości p. K. I w tych granicach jednak, to jest, jako kompilacya, dziełko p. K. mogłoby rzetelny przynieść pożytek zarówno uczącej się młodzieży, jako i czytelnikom-dyletantom, gdyby autor, jakby umyślnie nie był postarał się o wyposażenie pracy swej innemi jeszcze stronami ujemnemi, których łatwo mógł uniknąć. Z pomiędzy nich najprzód wymienić wypada podział treści na części, tytuły, rozdziały i paragrafy i poprzedzenie nadto każdej części osobnym wstępem. Podział taki jest przyczyną z jednej strony braku związku pomiędzy materyami rozbieranemi, a z drugiej ciągłego powtarzania się i mieszania pojęć. Dalej niewłaściwem jest przeplatanie wykładu licznemi wyrażeniami łacińskiemi, co i niepotrzebne i zrozumienie rzeczy dla czytelników nieprzygotowanych niezmiernie utrudnia. Pisze np. p. K. tak: „Prawo rzymskie, uznawszy „cum telo ambulare hominis necandi causa“ za karygodne na równi z homicidium, musiało jeszcze, chcąc ukarać na równi z deneficium akt przyprawiania, sprzedawania lub posiadania trucizny hominis necandi causa wypowiedzieć w tym względzie wyraźnie swoją wolę w osobnym rozdziale legis Corneliae“ (str. 23). Najbardziej zaś nagany godnym w książce p. K. jest język zaniedbany i germanizmami przesiąkły. Od pierwszej do ostatniej stronicy nie ma prawie ani jednego zdania, w którem by zaimek „który“ nie powtarzał się dwa lub trzy razy. Działania (czytamy na str. 22 § 13), które w niektórych leges rzymskich uznane są za karygodne na równi z przestępstwami dokonanemi, nie będąc jeszcze niemi ze stanowiska naszych dzisiejszych wyobrażeń, tworzą właściwie ze stanowiska prawa rzymskiego przestępstwa sui generis, przestępstwa, które tylko materyalnie podobne są do działań, które dzisiaj nosiłyby cechę usiłowania.“ Itp. na str. 26, 31, 33, 34, 40, 41, 42, 45, 51, 53, 55, 56, 57, 59, 63 itd. Zamiast: okres, autor używa stale wyrazu „stacya,“ zam. powzięcie postanowienia—„zapadnięcie postanowienia,“ zam. można—„da się“ (lässt sich), zam. stanowi „zaznacza“ (np. „określenie Zachariego zaznacza ogromny postęp w historyi naszej nauki“ str. 32, § 19), zam. powstanie, urzeczywistnienie—„zaistnienie“ (144), obelga jest dla niego obrazą „honorową“ (159), zam. przygotował sobie—„dostarczył sobie“ (151 § 79), kilka razy powtarza „całkowicie lub wcale“ (zam. wcale *nie*) str. 140, 141 i dal.; mówi kradzież *ze włamaniem* (zam. włamaniem) 150 itd. itd.

Gdy do tego wszystkiego dodamy jeszcze, że p. K. polemizując z autorami, z których czerpał, na żadnym suchej nitki nie zostawił, że utrzymuje, iż „wszyscy w ocenianiu wpływów polityczno-prawnych na wymiar kary zajmują stanowisko bardzo błędne“ (110 § 62) a sam o sobie powiada: „sposób, w jaki wytłomaczyłem interwencyę tych wpływów jest całkiem nowy“ — nie będzie zdaje się wątpliwości, że książka p. K. nie stanowi wzbogacenia ani nauki prawa wogóle, ani w szczególności literatury naszej.

A. J. Cohn.

PODRĘCZNIK DO JĘZYKA CZESKIEGO.

Szastecki Ign. *Gramatyka czeska*. Nakładem Kazimierza Kaszewskiego z zapomogi Kasy imienia ś. p. Mianowskiego. Warszawa i Praga, druk Otty. 1884 r.

Sławny przed wiekami prawnik czeski Wiktoryn ze Wszehrd temi słowy głosi zalety mowy nadwełtawskiej: „Nieprawda, aby język czeski, jako się niektórym zdało, mało rozpowszechnionym i grubym był. Obfitość i bogactwo jego w tem widoczne, że cokolwiekbyś po grecku i po łacinie wyrazić zdołał, że już o niemczyźnie na teraz nie wspomnę, tego po czesku snadnie dokazać możesz.“ Nie sądzimy, aby ten sąd, wypowiedziany przez męża, lubo niepospolitą u spółczesnych cieszącego się powagą, zbyt wiele jednak ważył i rzetelne o przymiotach mowy czeskiej wydawał świadectwo; wszakże przyznać winniśmy, że cenne jej pomniki, których starożytność dowodzi wczesnego uspołecznienia narodu, na szczególną ze strony naszej zasługują uwagę.

Ruchy reformatorskie za czasów husyckich, krwawymi ślady gdzieindziej oznaczone, budząc w łonie Czech poczucie swojskości, zasiały ziarna, które rozwijając się w brzemiennych burzą warunkach, rozbujały w okazałe krzewy piśmiennictwa. Spory teologiczne, mimo swoich ujemności stronniczych, wytworzyły w narodzie krytycyzm, zaostrzyły dowcip i zrodziły wymowę. Czynniki te stały się podwaliną literatury. Nie tu wszakże miejsce, abyśmy o dziejowym i cywilizacyjnym rozwoju Czech rozprawiali; zadaniem naszem jest naznaczenie ważności podręczników do nauki języka pobratymczego, ku czemu właśnie stosowna nadarza nam się sposobność. O ile sądzić możemy z przedmowy autora *Gramatyki czeskiej*, wydanej z zapomogi Kasy imienia ś. p. Mianowskiego, książka ta przeznaczona nietylko dla szerszej publiczności, lecz i poniekąd dla literatów, uczących się języka dla poznania płodów jego myśli. Teorya tutaj ma być więc ściśle zespolona z metodą praktyczną, liczne ćwiczenia w ciągu dzieła umieszczone, starają się temu zadosyć uczynić. Ale teorya jednak suchością nagromadzonego materyału i pewną kategorycznością w wygłaszaniu martwych i gołosłownych prawideł świadczy, że p. Sz. jął się pracy tej bez należytego przygotowania w duchu spółczesnego postępu wiedzy, że zasady lingwistyki porównawczej, zgoła mu nieznane, nie pozwoliły w odpowiedni sposób korzystać z materyału, nagromadzonego w pracach Dobrowského, Szafarzyka, Hanki, Hattali, Kwieta, Zikmunda, Miksza, Gebauera i innych. Z tych to powodów wykład jego jest w wielu miejscach zawiłym i ciemnym. Rzecz tę postaramy się nieco wyjaśnić.

Fonetyka, będąca, jak wiadomo, kluczem organizmu języka, nader niedbale wyłożona. Autor w literach, oznaczających samogłoski akcentowane, nie odróżnia długości od właściwego przycisku (akcentu). Wprawdzie przyczyny tego szukać należy w grafice czeskiej, oznaczającej jedną tylko postacią samogłoski długie i przyciskowe, gramatyka jednak winna na to zwrócić baczną uwagę czytelnika.

Autor nic nie mówi o właściwej różnicy między *ú* długiem a *u* przyciskowem, które według grafiki czeskiej pisze się z kółeczkiem na wierzchu i odpowiada polskiemu *ó*. Samogłoska *ů*, będąca przedłużeniem krótkiego *u*, wyrażana dawniej pod postacią *au*, *ou*, powstała u czechów według Jungmanna w XVI st. i pochodzi z górnoniemczyzny. Owo *ú* długie nie zawsze, jak p. Sz. twierdzi, pisze się w pierwszej zgłosce, (*slawútny*, *mohútny*, *ocúnitd.*).

P. Sz. widocznie zapomniał o czeskiem *ó*, lubo je w alfabecie umieścił. Opuszczenie to wymaga wyjaśnienia. *Ó* t. j. długie *o* pisze się dzisiaj w wykrzykniku (ó człowiecze) i w wyrazach cudzoziemskich, gdzie samogłoska ścieśniona jest w wymawianiu np. *tón*, *balón* itp. Dawni czesi aż do XIV w. dzisiejsze *u* z kółeczkiem wyrażali w postaci *ó*; w początkach XV st. często już natomiast *uo*, póki nareszcie *o* nie znikło, zachowawszy ślad swój w postaci kółeczka nad *u*.

Oznaczenie stosunku nosówek polskich i starosłowiańskich (ą, ę) do samogłosek

czeskich, ułatwiając zrozumienie fleksyi deklinacyjnych i konjugacyjnych, staje się przy podobnego rodzaju podręcznikach rzeczą niezbędną, a w *Gramatyce* p. Sz. zaniedbaną.

Dalej znowu autor mówi: „W pisowni czeskiej panuje zasada, iż samogłoski miękkie następować mogą tylko po miękkich.“ Prawidło to, ponieważ p. Sz. nieznane jest prawo przegłoszenia samogłosek (*przehlasowáni*, po niem. *Umlaut*) zależne od spółgł. joty bądź samoistnej, bądź też utkwionej w poprzedzającej spółgłosce (*jeji* zam. jeje, jeja, jeję, polsk. jej: Wyš*ehrad* zam. Wy*sz ohrad* tj. Wys+j+ohrad) albo też w następującej (*dej* zam. da*j*, *krejci* zam. krajczy), nader jest niedokładne i ciemne; bo jakżeż uczący się zdoła zrozumieć zasadę, według której np. *a* polsk. w *daj* przeszło w czeskiem na *e* w dej itp. Nieznajomość prawa samogłosek przegłoszonych, znanego już Dobrowskému (1809 r.!) staje się powodem, że autor w konjugacyi wylicza sto kilkadziesiąt słów nieregularnych obyczajem starych gramatykarzy, obarczając pamięć uczącego się nawałem suchego materyału, który bynajmniej człowieka dojrzałego do studyów podobnego rodzaju zachęcić nie zdoła. Dążeniem spółczesnej lingwistyki jest właśnie usunięcie wyjątków gramatycznych; boć one albo są wynikami pewnego prawa fonetycznego, albo też zamarłemi formami przeszłości językowej, będącej, jak wiadomo, kluczem morfologii czyli nauki o tworzeniu się form gramatycznych.

W przemianach spółgłosek twardych na miękkie p. Sz. ukrywa to, co właśnie jest czynnikiem owego przeistoczenia dźwięków tj. tak zwanej jotacyi czyli zetacyzmu. W opracowaniu głosowni, owej najważniejszej części gramatyki, nie widać głębszych studyów autora, jakby to z przedmowy wnosić należało.

W deklinacyach p. Sz. zaniedbuje objaśnienia prawideł; w niektórych przynajmniej wypadkach zestawienie pewnych form chociażby ze starosłowiańskim, co szczególniej w wyrzutni samogłoskowej przyp. 2-go rzeczowników: *orel*, *posel*, *len* itp. (orla, posla) zachodzi, ciemną dosyć regułę w jaśniejszem przedstawiłoby świetle. Ażali wyrażenia: *na kuň*, *jiti za muž* nie objaśniają się już tem, że formy te nie stanowią wyjątku, bo są zabytkami dawnego przyp. 4. l. poj., zaginionego w nowożytnych narzeczach słowiańskich.

Co do konjugacyi nadmieniamy, że w gramatyce czeskiej imiesłów czynny czasu przeszłego: *chytal*, *a*, *o* (chwytał) nie nazywa się przechodnikiem; miano to służy tylko imiesłowom nieosobowym czyli przysłówkowym bez względu na czas (np. rodzaj męski *chytaje*, rodz. żeńs. *chytajic*, l. mn. na wszystkie rodzaje *chytajice* itd.).

Przyimki nie rządzą przypadkami, lecz wyrażają stosunki i względy niedostatecznie przez fleksye deklinacyjne oznaczone. Autor widocznie nie czytał składni porównawczej Miklosicha, jeżelić wykrzyknik po staremu do części mowy zalicza.

Klasyfikacya podobna uchodziła niegdyś w takich podręcznikach, jak gramatyka Teodozego Sierocińskiego, której reguły p. Sz. szczególniej zapamiętał.

Składnia rządu jest w obliczu postępów lingwistyki porównawczej anachronizmem. Konstrukcya ta niczem innem nie jest jak nauką, objaśniającą części zdania dopełniające, czego autor mógłby się nauczyć choćby z pracy syntaktycznej Henryka Sucheckiego, profesora wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie, który przed laty nowsze w tej gałęzi odkrycia do składni zastosował.

Mimo tych i wielu niewspomnianych usterek i przestarzałych wiadomości autora, pracy tej przyznajemy sumienność, widniejącą w troskliwości uprzystępniającej czytelnikowi wszelki w zakresie dzieła materyał. Dla korzystania jednak z tej książki potrzeba, aby uczący się ścisłą zwracał uwagę na wykład p. Sz. rozbierając w umyśle swoim każde prawie zdanie, do czego niemałej pilności i roztropności przyłożyć należy. Jest atoli nadzieja, że ogół inteligentny, skrupuły pewne przezwyciężywszy, ucząc się skwapliwie języka czeskiego, chlubne o sobie wydać zechce świadectwo.

Justyn Feliks Gajsler.

LIBERUM VETO.

Sprawa Kraszewskiego.—Dwa rozwiązania zagadki. — Oskarżony i prokurator.—Uwagi teoretyczne. — Wiara i niewiara. — Wystawa kucharska. — Przeciskanie się naszej slawy do Europy. — Pożyczka p. Kramsty i radość *Now. Wremieni*. — Protekcya *Kuryera warsz.* w niebie.

Prawdopodobnie utoną w tajemnicy końce tej przykrej sprawy, która zawiodła Kraszewskiego przed sąd państwowy w Lipsku pod zarzutem zdrady kraju (Niemiec). Między aktem oskarżenia a zeznaniem podsądnego zachodzi tak olbrzymia różnica, a materyał dowodowy jest tak szczupły, że o niewątpliwem wykryciu prawdy mówić trudno: jedna strona, tj. rodacy Kraszewskiego muszą się zadowolić wiarą w jego słowa, druga tj. niemcy — domniemaniami i sprawiedliwością swego trybunału. Jeżeli przeto ktokolwiek z nas zastanawia się nad tą zagadką, to może tylko oceniać jej rozwiązania warunkowe i wyprowadzać wnioski teoretyczne, stawając kolejno bądź na stanowisku podsądnego, bądź na stanowisku prokuratora.

Kraszewski usprawiedliwia się: Konserwator biblioteki polskiej w Paryżu, Bronisław Zaleski prosił mnie w imieniu redakcyi jakiegoś francuskiego dziennika o ściśle korespondencye wojskowe z Niemiec. Ponieważ był to człowiek biedny a to pośrednictwo obiecywało mu zyski, wynalazłem więc kilku ludzi odpowiednich, między nimi kapitana Hentscha i Adlera, który przez moje ręce dostarczali pożądanego materyału i odbierali za to wynagrodzenia. O ich podstępnem czerpaniu ze źródeł zakazanych i o zużytkowywaniu wykradzionych tajemnic na korzyść rządu francuskiego nie wiedziałem; jestem więc niewinną ofiarą podejścia.

Tymczasem prokurator odpiera: Ponieważ żadne pismo francuskie owych korespondencyj nie drukowało i drukować nie mogło, ponieważ, jak przekonywają listy, Kraszewski kupował najchętniej wiadomości, dobyte z pod pieczęci tajemnicy wojskowej, ponieważ je świadomie obstalowywał i hojnie płacił — przeto jako obywatel saski, jest winnym zdrady kraju.

Przyłóżmy miarę moralną do obu tych tłomaczeń.

Pierwsze żadnemu zarzutowi nie podlega. Za rolę, którą grałem bez mojej wiedzy i woli, nie odpowiadam.

Inaczej rzecz się ma z drugiem. Tu niemiec rozumuje tak: Kraszewski do nas schronił się, przyjął nasze obywatelstwo, używał naszych praw i swobód, nie powinien nas był zdradzać, zwłaszcza zdradzać nie na korzyść własnego, ale obcego a nam wrogiego kraju. To już nie patryotyzm, ale najem śledczy, który my prawnie musimy karać, moralnie — potępiać, a politycznie — mścić. Gdyby Kraszewski dopuścił się istotnie takiego przestępstwa, zdjąwszy jedną ręką przed nim kapelusz, drugą rzuciłbym na niego kamieniem. Podobna służba nie przystoi żadnemu człowiekowi uczciwemu, a tem mniej zajmującemu najwydatniejsze stanowisko we współczesnej literaturze swego narodu. Zresztą nie rozumiem etyki łatanej wykrętami, nie rozumiem kompromisów z sumieniem, nie rozumiem wywabiania plam z jakiegoś charakteru wielkością jego umysłu lub zasługami. Ale — jak rzekłem — Kraszewskiemu świadomej zdrady nie dowiedziono, wobec zaś nieprzekonywających świadectw pozostaje nam tylko wierzyć jego zapewnieniu: „igrałem z ogniem bezwiednie.“ Sąd lipski wiary takiej nie żywi i żywić nie może, poszlaki pchają go ku silnemu podejrzeniu, smutny więc dla Kraszewskiego rezultat jest prawdopodobnym.

. . . .

Tymczasem będziemy mieli w Warszawie inną biesiadę — wystawę kucharską. Ponieważ wątpię, ażeby nawet grenlandczycy i siuxowie nie wiedzieli, że jadamy obficie i smacznie, ponieważ sława naszej kuchni jest najzupełniej zasłużoną, nie mam więc żadnej obawy, że zdobyczami nauki w tym kierunku zadziwimy świat głodny i niewybredny. W najdalszych zakątkach Niemiec — pomimo nienawiści plemiennej — głoszą naszą chwałę *polnische Karpfen* i *Bigos*; a jeżeli komu te płonki nadwiślańskiej cywilizacyi wydawały się zbyt niedostateczne, niech roztopi serce w nadziei, że wystawa kucharska da nas lepiej poznać Europie. Doprawdy już czas na to! Filozofii, nauk przyrodniczych, matematyki przyrządzać dobrze nie umiemy, ale kołduny, majonezy, pierogi! — czy podobna, ażeby dusze w niebie czuły się zadowolone bez tych przysmaków! Dodać trzeba, że do urządzenia wystawy zabraliśmy się po polsku: zaraz na progu jej kilku kucharzów pokłóciło się należycie. Nie mogę sobie wystawić u nas żadnego zbiorowego przedsięwzięcia bez tej smacznej doprawy.

Na nieustającą wystawę obywatelską Herr von Kramsta aus Zagórze-Klimontowo-Bolesław etc. (gub. piotrkowska i kielecka) przysłał nam wytwór przedziwnego smaku. Oto jak donosi *Wiek* za *Rusk Wiedomostiami* — szanowny ten mąż wypuścił obligacyj hipotecznych na sumę 8,000,000 marek, a ta pożyczka taki znalazła popyt w... Berlinie, że z pierwotnego kursu 97 wzrosła do 101. Tym sposobem obszerny kawał ziemi naszej przeszedł w niezwołalne posiadanie kapitalistów niemieckich. Zdawałoby się, że pośrednio interesowana prasa rosyjska doznała niemiłego uczucia; aż tu „słowianofilskie“ *Nowoje Wremia* klasnęło w ręce z radości. „Dla nas—powiada ono — szczególnie pochlebną jest ta okoliczność, że świetne powodzenie pożyczki p. Kramsty zależało od ufności publiki rosyjskiej względem Rosyi, albowiem pożyczka ta zabezpieczona jest na dobrach rosyjskich, położonych w Królestwie Polskiem z zakładami górniczymi, kopalniami itd.“ „Ktoby to był dopatrzył! — pisze *Wiek*. Mamy z jednej strony niemców, czyhających na sposobność wyrwania z polskich rąk kawała ziemi; z drugiej strony niemców, którzy tamtym niemcom pożyczają na hypotekę wyrwanych kawałów pieniądze, a z trzeciej *Nowoje Wremia*, wdzięczące się z przymileniem do publiki niemieckiej za ufność do rosyjskich dóbr.“ Z mojej strony dodam tę pociechę dla *Now. Wremieni*, że taką ufność niemcy zawsze żywić będą i nieraz jeszcze przez wykupowanie dóbr polskich jej dowiodą.

Cóż wam więcej obok tej miłej nowiny donieść mogę? Że święci: Serwacy, Pankracy i Bonifacy nie skorzystali tego roku ze swych praw zimowych, sami zauważyliście. Nie wiecie może tylko, dlaczego nas spotkała ta łaska. Dobrze poinformowany w sprawach niebieskich *Kuryer warszawski* tak ją objaśnia: Ponieważ przez czas wiosny trapiły nas śniegi i mrozy, więc „*wyraziliśmy* skromno *pium desiderium*, ażeby w odwet za tę przykrość, święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy wyrzekli się na ten rok swej tradycyjnej misyi zakłócania zimnem pory wiosennej. Jak się okazuje, petycya ta została uwzględnioną *w sferach kompetentnych*.“ Trzy więc dni pogody majowej zawdzięczamy wstawiennictwu *Kuryera warszawskiego* „w sferach kompetentnych.“

No, nieźle, nieźle, jak na pierwsze kroki „w masoństwie“—prosimy częściej.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przyjaciele ludu w petersburskiej redakcyi, w Rożyszczach i w Lublinie. — Abracadabra. — Proces w Maryampolu i emigracya żydowska. — Bezczelna niby uczciwość.

Jeżeli chłopu polskiemu braknie czasem na przednówku chleba, to gorących przyjaciół niezabraknie mu chyba nigdy. Jeden z nich znalazł się niedawno w redakcyi petersburskiej gazety *Nowosti* i przychylność swoją wyraził w oryginalny nieco sposób: zażądał mianowicie zniesienia ceł protekcyjnych, które podtrzymują sztucznie lichy polski przemysł i zmuszają lud polski do kupowania drogich swojskich wyrobów zamiast tanich niemieckich, głównie zaś utrudniają wywóz za granicę zboża, które niemcy w dowód wzajemnej przyjaźni obłożyli również mytem. Dotychczas przemysł nasz cieszył się względami rosyjskich publicystów..... Wolnohandlowiec petersburski w porywie radości z odnowionej przyjaźni niemieckiej postanowił jednym pociągiem pióra przekreślić politykę ekonomiczną państwa i w liberalnym lamusie pomiędzy rupieciami zleżałych argumentów wynalazł nową broń — dobro polskiego ludu. Zapomniał tylko a raczej nie wiedział o tem, że włościanin zboża na wywóz nie uprawia, i że, gdyby dobrze obliczyć, więcej dokupuje go nieraz niż sprzedaje. A kilkakroć stotysięcy robotników fabrycznych oderwanych od zajęć również coś znaczy — toż to przecie także przedstawiciele polskiego ludu? Obecnie praca ich jest eksploatowaną, wynagradzaną licho, ale zawsze zarobek wystarcza przynajmniej na kawałek chleba, którego najserdeczniejsi przyjaciele nie dadzą im w razie zamknięcia fabryk.

Dziś kiedy przemysłowcy nie zwinęli jeszcze swoich namiotów, ale tylko zmuszeni byli ograniczyć wytwórczość tysiące ludzi szuka napróżno zajęć i chleba. W Zduńskiej Woli tłumy robotników udały się do władzy, prosząc o pomoc, to samo powtórzyło się w Łodzi. Objaw to znaczący, bo stwierdza, że w pojęciu klas pracujących interwencya państwa uważaną jest za słuszną i konieczną, i że wszelkie wolne współzawodnictwa i wolne handle okazują się przy próbie niezdolnemi do usunięcia skutków przesilenia.

Po takim okazie bezinteresownej miłości ludu dziwić się niepodobna chłopom, że z niewiarą spoglądają na wszelkie starania swoich przyjaciół. W Rożyszczach na Wołyniu nauczyciel sprowadził książki dla ludu, ale nikt nie chciał ich kupować ani brać za darmo. Sprzedano więc je żydom. Tymczasem sąsiedzi tych odpychających wiedzę chłopków niemcy koloniści starają się o zamianę szkoły na dwuklasową, zobowiązując się do znacznych ofiar pieniężnych na jej utrzymanie, a w zamian żądają tylko wprowadzenia języka niemieckiego. Dla „dobra ludu“ należałoby uwzględnić żądania niemców a ciemnym małoruskim chłopom przysyłać nadal niezrozumiałe dla nich książeczki, które żydzi zakupią na makulaturę.

Nawet dobre chęci przyjaciół ludu nie zawsze wychodzą na dobre. W Chomęciskach w Zamojskiem mieszka gorliwy lubownik muzyki niejaki p. Namysłowski, który wytrwale szczepi pośród mieszkańców zamiłowanie do tego kunsztu i po długich staraniach utworzył wreszcie orkiestrę chłopską. Kapela ta przygrywała do tańców w karczmie i na weselach a nawet wykonywała trudniejsze utwory ze zrozumieniem treści i ścisłością w oddaniu. P. Namysłowski pragnąc popisać się swojem dziełem sprowadził orkiestrę do Lublina i urządził dwa koncerty. Publiczność przyjęła artystów w sukmanach nader przychylnie, za bilety zaś zebrali sporo grosza. Co do mnie jednak, jakkolwiek podzielam zachwyty nad rozbudzeniem muzykalnych zamiłowań wśród ludu, żal mi tych chłopów wystawianych na pokaz i oklaskiwanych jako nowość. Niech tam sobie tworzą orkiestry, grają po jarmarkach i odpustach, ale niech nie odwykają od roli. Artystyczne wycieczki zrobią z nich tylko kiepskich grajków wędrownych. Jakiś nadto gorliwy przyjaciel zamyśla podobno zamojską kapelę sprowadzić do Warszawy; że pomysł ten będzie miał powodzenie, trudno wątpić—ale napewno można powiedzieć, że wiejskim grajkom nie pójdzie na zdrowie... moralne.

Kiedy już mowa o zdrowiu zanotujmy wiadomość o niesłychanem powodzeniu dwóch znachorów, do których o poradę udają się setki ludzi. Jeden z nich, tatar, zamieszkał w Humaniu i leczy chorych dając im do zjedzenia kartki zapisane jakiemiś hieroglifami. Dla rozmaitości czasem dzieli te kartki na kilka dawek. Drugi osiadł na Pradze i leczy również za pomocą kartek, na których w trójkącie napisany jest wyraz: *abracadabra*, ale nie każe zjadać papieru, tylko zaszywać w szkaplerz i nosić na piersiach. Pisma, które podają tę wiadomość, oburzają się na niegodziwy wyzysk zaimprowizowanego lekarza; ale ja nie oburzam się, bo przyzwyczajony jestem do tego, że u nas wszelkie dolegliwości, czy to fizyczne, czy moralne leczą się zawsze za pomocą jakiejś bezmyślnej abracadabry... zaszytej w szkaplerzu. Jeżeli wolno to czynić mężom stojącym na czele społeczeństwa, dlaczegóż zabraniać znachorowi z Pragi?

W Maryampolu zakończył się proces włościan oskarżonych o wywołanie antiżydowskich rozruchów. Śledztwo sądowe wykazało, iż rabunku wcale nie było, z liczby czterdziestu kilku podsądnych jednemu tylko udowodniono kradzież. Właściwie rabowano, ale izraelici pragnąc uzyskać zasądzenie akcyi cywilnej oskarżyli przeważnie zamożnych włościan, którzy albo wcale w zaburzeniach udziału nie przyjmowali, albo bili tylko, ale nie kradli. Dowcipny wybieg nie udał się więc w części, bo sąd połowę oskarżonych od odpowiedzialności uwolnił. W mowach adwokatów, popierających akcyę cywilną, wiele było rodzimej *abracadabry*, według nich stosunki między chłopami i żydami były jaknajlepsze, o wyzysku mowy być nie może a fanatyzm religijny nie istniał zgoła, słowem cała historya stała się niewiadomo jak i dlaczego.

Widocznie sami żydzi nawet nie wierzą w te szumno-brzmiące frazesy o braterstwie dzieci jednej ziemi i ze swej strony szukają środków wyjścia z fatalnego położenia. Jednym z najskuteczniejszych jest emigracya, która szczególniej w litewskich i białoruskich miasteczkach przybiera coraz szersze rozmiary. Najwięcej przesiedla się z gubernii mińskiej, szkoda tylko, że kontyngens wychodźców składa się przeważnie z rzemieślników; lichwiarze i faktorzy zostają na miejscu, nie widząc pola do zarobku w Ameryce. Dobrobyt względny, jaki znajdują emigranci za oceanem i myśl uniknięcia służby wojskowej zachęcają innych. Znalazł się nawet agent, krawiec z Radoszkowicz, który przed kilku laty pojechał do Ameryki, zrobił tam majątek i teraz werbuje swoich współwyznawców do budowy kanału w Panamie. Dotychczas znalazł ledwie kilkudziesięciu amatorów tej ciężkiej pracy, ale natomiast wywiózł 30 dziewcząt żydowskich do domów rozpusty. Proletaryat żydowski dostarczał najliczniejszego kontyngensu „wesołych cór“ Warszawy, Wilna, Kijowa itd. Teraz Ameryka zaczyna nam i w tem przedsiębiorstwie robić konkurencyę i zabiera najlepszy towar — „pierwszy sort!“

W Żytomierzu młodziutka 17 - letnia dziewczyna zabiła na ulicy oficera, który uwiódł ją obietnicą ożenienia, a potem zamierzył wstąpić w związki małżeńskie z inną. Zabójczyni jest córką biednego stolarza, otrzymała jednak pewne wykształcenie. Oficer Wolk-Łaniewski znany był ze swych donżuańskich usposobień. Ile przejść musiała biedna dziewczyna, zanim targnęła się na życie uwodziciela, świadczy okoliczność, że wprzód kilkakrotnie usiłowała odebrać sobie życie. Nawet ofiara zabójstwa, ów lekkomyślny uwodziciel, umierając, przebaczył jej i przyznał, że miała względną słuszność. Ale innego zdania jest korespondent *Gazety polskiej*, któremu nieszczęście daje powód tylko do oplwania zbłąkanej. Wbrew wiadomościom, podanym przez inne pisma, oznajmia on, że miłość zaczęła się „przy cukrach i szampanie,“ że dziewczyna odznaczała się „brakiem zasad moralnych.“ Kończy wreszcie naigrawania swoje bezmyślnym frazesem: „niewczesna (?) mścicielka własnej czci, której strzedz nie umiała pod wpływem nalecia- łych wyobrażeń o swobodzie związków *wolnego wyboru*, oczekuje w więzieniu — sądu.“ Przyznam się, iż nie mogę dobrze zrozumieć tej tyrady. Jak pogodzić teoryę swobodnych związków z chęcią rehabilitacyi przez małżeństwo, co to znaczy swoboda związków wolnego wyboru, niewczesna mścicielka czci itd. odpowiedzieć nie umiem i rozwiązanie tych zagadek pozostawiam rozumowi autora, jak pozostawiam uznaniu jego sumienia właściwość użycia brudnych insynuacyj wobec największego nieszczęścia, które spotkać może człowieka, bo doprowadzić go aż do występku.

X.

Kijów. Pan Eisman umarł! A cóż to był za jeden? — spytacie może. Był to wielki człowiek — w zaścianku. Gdyby nie to, że za życia miał zaszczyt być *głową* w Kijowie, że po śmierci jego pozostał tułów miasta bez głowy, doprawdy, nie wiedziałbym, co więcej o nim powiedzieć. Biografia jego krótka, i węzłowata: żył, zrobił milion i umarł, a gdyby żył jeszcze lat kilka, byłby zostawił więcej domów i milionów. Za życia swego wykształcił i oddał na pożytek publiczny takich dzielnych ludzi, jak ś. p. Swirydow, był akcyonaryuszem w kilku bankach i stowarzyszeniach, mydlił oczy ludziom kopiejkową dobroczynnością a pod koniec życia chciał postawić dogmat swojej nieomylności, ale śmierć w pełni chwały i pracy zabrała tego człowieka, noszącego oficyalny tytuł głowy, i schowała go, jak i tych biedaków, którzy milionów nie mają, do ciemnej i ciasnej izdebki... *Ot tobi babo j knysz!* Przez czas noszenia urzędowej głowy na swoim karku miał on zgryzot nie mało i od przyjaciół i od nieprzyjaciół; mógłby tedy powiedzieć razem z Heinem;

Sie haben das Brot mir vergiftet,
Sie gossen mir Gift ins Glass —
Die Einen mit ihrer Liebe,
Die Andern mit ihrem Hass.

Osierocony Kijów szuka teraz głowy — jednej głowy tylko! Ale nie taka to łatwa rzecz. Szukają tedy jej z wielkiem wysileniem, i w dzień i w nocy. Udawano się do p. Artema Tereszczenki — ten powiada, że potrzebuje głowy dla siebie, gdyż jeszcze ma zamiar do końca chwalebnego życia swego ufundować kilka cukrowni i kupić kilka majątków, ponieważ wziął sobie za punkt honoru nie zostawić swoim synom mniej niż sto milionów — papierowych rubli. Taką samą pracą zajęty i p. Fiodor Tereszczenko. Pan Renenkampf chętnie podjąłby się trudów zostania głową na bezwładnem ciele (wyraz pochodzi od rzeczownika — ciało), ale, nie spodziewając się śmierci p. Eismana, już pozwolił włożyć na swoją głowę—biret rektorski. To człowiek spokojny i dobry, znany z bezinteresownej reputacyi jeszcze z niefortunnej pożyczki bez procentu ś. p. Sioniego: on za-

spokoiłby się byle czem i dziękował Bogu już i za to, gdyby mu za życia choć jeden dom jeszcze wyrósł...

Z powodu takich trudności przy poszukiwaniu głowy dla Kijowa, *Zaria* wycisnęła ze swoich, zapatrzonych w przyszłość oczów, parę krokodylich łez i utyskuje nad tem, że w Kijowie „nie ma popularnych ludzi, zaszczycanych publicznem zaufaniem;“ że „każdy szuka — *swojewo człowieczka*,“ że wobec takiego stanu rzeczy ona, tj. ta zorza, która ciągle mętnem światłem błyska, „nie może podtrzymać żadnego kandydata, bo.... żadnego nie ma.“ Jest to tylko skromność, bo wiemy dobrze, że *Zorza* chętnieby zaświeciła nad głową kilku kandydatów—nieświętujących w niedzielę, i dobrze wie, że miasto zyskałoby przez to — kilka gorzelni więcej. Szanując tedy skromność *Zari*, śmielibyśmy zaproponować p. Pichnę, to przecież luminarz uniwersytecki i prawdziwa głowa do... ozdoby miasta. Zresztą—proposition n'est pas imposition— ale podobno Kijów szuka głowy prawdziwej, ale tylko — złotej, czyli cielca Baala—similia similis gaudet. Szukajcie a znajdziecie, proście a będzie wam dano.

Do powszechnego niezadowolenia i kwasów jeszcze i cukier wywołuje nową fermentacyę na wielkim, zarówno jak i w naszym małym światku. Co będzie, wołają handlarze i przemysłowcy utuczeni na cukrze, jeżeli umniejszy się na świecie to jedyne źródło słodyczy? Czescy fabrykanci nie sprzedają cukru, czekają podwyższenia cen, a niemieccy uważają, że ceny dosyć wysokie, powiększają u siebie ilość fabryk i zarzucają rynki niemieckim cukrem; Anglia pomnaża liczbę fabryk, Włochy nawet pokochały platoniczną miłością buraki—jest więc wszelka nadzieja: że nam coraz słodziej i lżej będzie na tym niewesołym świecie.

Opowiadają tu ludzie dobrze poinformowani, że p. Petrow, autor *Historyi lit. ukraińskiej XIX w.* zamierza złożyć podziękowanie redakcyi warszawskiej *Roli* za pośrednictwo w cywilizowaniu polaków według rosyjskich źródeł, a panu M. S. wdzięczny jest bardzo za plagiaty w takim szlachetnym celu zrobione, do których przez skromność zapewne nie przyznał się; zwraca jednak uwagę osób ciekawych, że tym razem domorosły kogucik powybierał tylko ziarnka chwastów od 22 do 27 strony jego dzieła, a redakcya, w dobrej wprawdzie myśli, posiała je — na jałowej *Roli*... Mimo to p. Petrow spodziewa się, że jego dzieło posłuży jeszcze nieraz do fabrykacyi artykułów—dla *Roli*, ku chwale *Roli* i dwukopiejkowych korespondentów.

Nie wiem, jaką rolę gra rola w *Roli*, ale to wiem, że teraz okazuje taką samą znajomość literatury ukraińskiej, jak niegdyś — hebrajskich starożytności, które tyle śmiechu wywołały.

Fr. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 14 maja.

Wbrew oczekiwaniom rządu francuskiego wybory do rad municypalnych wypadły dlań niezbyt korzystnie. Ministeryum otwarcie przyznaje się do porażki. Monarchiści zdobyli bardzo niewiele, ale znacznym jest wzrost stronnictwa radykalnego. W Paryżu stronnictwa opozycyjne pozyskały olbrzymią przewagę, najwięcej głosów zebrali radykaliści, potem socyaliści i partya robotnicza; ta ostatnia przeprowadziła do rady municypalnej swego przewódcę, znanego mówcę klubowego Chaberta. Oczekują więc rząd ciągłe zatargi i starcia z radami municypalnemi a dzienniki zachowawcze z trwogą dopatrują widma komuny, mordów i pożarów.

Komiczny następca napoleońskiej tradycyi wydał nowy manifest, w którym przyznaje rzeczpospolitę, „ponieważ ta forma rządu nie może być niemiłą następcom pierwszego konsula,“ oświadcza tylko, że życzy dalszego jej rozwoju na rzecz wszechwładztwa ludu. Manewr ten jednak ani zwolenników, ani przyjaźni sfer republikańskich dlań nie zjedna i pozostanie tylko dziwacznym wybrykiem.

Parlament niemiecki zatwierdził przedłużenie ustawy przeciw socyalistom. Było to do przewidzenia od chwili, jak wskutek opozycyi wolnomyślnych upadły w komisyi poprawki Windhorsta. Na pełnem posiedzeniu ten ostatni cofnął swoje wnioski i centrum głosowało z wolnej ręki, jak kto chciał. Głosy tej partyi podzieliły się prawie równo za i przeciw ustawie. Wolnomyślni również nie szli zwartą falangą, secesyoniści liberalni a nawet niektórzy postępowcy głosowali za projektem. Powiadają, że ustępstwo ze strony centrum opierało się na pewnych obietnicach rządu w sprawie powrotu arcybiskupa Melchersa i naznaczenia na katedrę poznańską ks. Cybichowskiego. Bo podobno, chociaż Ledóchowski zrzekł się, ale papież rezygnacyę jego przyjął warunkowo, że następca będzie miłym nietylko Kuryi, ale i ludności polskiej Księstwa. Jest to nowa zmiana dekoracyi w ugodowej komedyi.

Koło galicyjskie gra komedyę opozycyjną z rządem. W sprawie przedłużenia koncesyi kolei północnej przyjęło ono wniosek Hausnera, żądający upaństwowienia tej drogi. Rząd na to zgodzić się nie chce, ale kolej poczynić musi znaczne ustępstwa a na kompromis ten przystaną w końcu i galicyanie.

Wybory do rad powiatowych w Galicyi wypadły nie po myśli stronnictwa panującego. Chłopi, zamiast wybierać przedstawicieli warstwy stworzonej do przewodnictwa, oddali głosy włościanom, zwłaszcza we wschodniej połowie kraju t. z. kandydatury narodowe nie utrzymały się. Prasa w tak smutnym wypadku stara się nadrobić miną i pociesza tem, że chłopi, jakkolwiek zgubnym podszeptom ulegli—nie wybrali jednak wichrzycieli i agitatorów. Sejm galicyjski podobno zwołany będzie w czerwcu.

Wkrótce już rozwiązany zostanie parlament węgierski. Opozycya przy nowych wyborach pragnie zwalić ministeryum Tiszy, dla tego celu utworzoną została koalicya najróżnorodniejszych stronnictw, w której socyaliści i antisemici figurują obok skrajnych zachowawców. Rząd znowu, pragnąc zapewnić sobie większość, wszedł w układy z przedstawicielami narodowości rumuńskiej i serbskiej oraz poczynił im, a właściwie obiecał poczynić dość znaczne ustępstwa. Krok ten wszakże może mu prędzej zaszkodzić niż pomódz wobec znanego szowinizmu madziarskiego.

Traktat z Chinami został nareszcie zawarty, a warunki jego są nader korzystne dla Francyi, która obejmuje protektorat nad Anamem i Tonkinem i otwiera dla swego handlu trzy najbogatsze południowe prowincye chińskie.

W Monachium podczas trzydniowego „święta weteranów“ urządzili socyaliści manifestacyę. W nocy na łuku tryumfalnym zawieszono czerwoną chorągiew zamiast państwowej, z napisem „Precz z mordem ludu — niech żyje demokracya socyalna!“

Wiedeń. Na posiedzeniu Izby deputowanych wybuchło nieporozumienie między prezydentem Smolką i lewicą. Klub tej partyi odbył nadzwyczajną naradę i postanowił usunąć się od działalności parlamentarnej, wobec pogwałcenia przez prawicę praw mniejszości. Jest wszakże nadzieja, że sprawa da się załatwić polubownie.

CUDZE GŁOSY.

Politykę Czasu charakteryzuje *Kuryer poznański*, organ niemniej od kolegi krakowskiego konserwatywny, w sposób następujący:

„Wiadomo, że *Czas* potępia *zasadniczo* wszelkie zerwanie delegacyi galicyjskiej z rządem, t. j. z *każdym* rządem. W marcu r. 1870 *Czas* jeszcze tego samego dnia, gdy delegacya nasza w porozumieniu z baronem Beustem i dworem opuściła Radę państwa i w ten sposób sprowadziła upadek gabinetu Hasnera, Herbsta i Giskry i nominacyą gabinetu hr. Potockiego, piorunował przeciwko tym, którzy zalecali wystąpienie z Rady państwa. Tak samo za siedmioletnich rządów ks. Auersperga *Czas* stale ostrzegał przed opozycyą. Nie można się więc wcale gorszyć tem, że dziś tem gorliwiej odwodzi od opozycyi i zaleca popieranie rządu.“

Tę „ministeryalną“ politykę *Czasu* — *Kuryer poznański* aprobuje w zasadzie, utrzymuje przecież, że organ stańczyków przekroczył już wszelkie granice.

„Jeżeli bowiem—jak twierdzi *Czas*—„dzisiejszy ustrój autonomiczny wystarcza Galicyi,“ jeżeli tam nikt nie domaga się większej autonomii, ani nawet skonsolidowania rządu krajowego, jeżeli decentralizacya kolei żelaznych jest nieszczęściem, a spolonizowanie, szczechizowanie itd. kolei cislitawskich niemożliwem, natenczas delegacya galicyjska nie powinnaby (według zasad *Czasu*) popierać gabinetu Taaffe-Dunajewski, lecz przeciwnie, powinnaby czem prędzej prosić cesarza o zamianowanie gabinetu Herbsta, Plenera itd. Bo ci panowie, byleby się Galicya wyrzekła autonomicznych żądań, wybudowaliby nam przynajmniej mnóstwo kolei...“

Życzliwa rada. Ks. Senczykowski nie przestaje interesować się sprawami swego rodzinnego społeczeństwa i od czasu do czasu nadsyła do pism rosyjskich uwagi i rady. Podajemy za *Kuryerem warszawskim* charakterystyczny okaz (umieszczony w *Wileńskim Wiestniku*).

„W gazetach piszą nieustannie, że w wileńskim okręgu naukowym silnie się krzewią tajne szkoły i uczelnie, polskie z ducha i kierunku. I czyż może usunąć to choćby najlepsza administracya rosyjska? Nigdy. Zaręczam za to dlatego, że księża nie dopuszczają do spowiedzi, nie dają rozgrzeszenia i komunii, odmawiają łączenia węzłami małżeńskiemi nieumiejących czytać po polsku i nieumiejących katechizmu oraz modlitw kościelnych po polsku. Łatwo potem zrozumieć, że aby uniknać klątwy rzucanej przez księży na nieumiejących polskiego języka, biedny, ciemny lud, przy pomocy księży używa wszelkich wybiegów i bezprawi, byleby tylko dzieci umiały alfabet polski i uważały się za polaków. Zamknijcie główne źródło polonizmu, tj. znieście w kościołach polski język i na jego miejsce wprowadźcie tam rosyjski, a wówczas sama z siebie upadnie potrzeba tajnych polskich szkół.“

SPRAWA KRASZEWSKIEGO.

Ze sprawozdań pism naszych podajemy streszczenie procesu, wytoczonego w Lipsku Kraszewskiemu. Ponieważ proces ten ma dla nas wagę tylko ze względu na udział w nim znakomitego pisarza, pomijamy więc szczegóły, dotyczące jedynie jego wspólnika.

Akt oskarżenia.

Kraszewski należy do stronnictwa, które spodziewało się urzeczywistnienia swojego programu od pomyślnego układu ogólnych stosunków politycznych; do wywołania więc takiej konstelacyi mógł się przyczyniać. Nadto usiłował on popierać dobrobyt materyalny kraju drogą pracy organicznej i podnieść oświatę ludu, czemu odpowiada tendencya licznych jego pism, po najwię-

kszej części romansów, które wynoszą około 200-tu tomów. Pomiędzy swoimi rodakami używa on znacznej powagi; najlepszym dowodem były wspaniałe owacye, jakie mu czyniono podczas podróży odbytej w r. 1867 po Galicyi i Poznańskiem, jakoteż podczas jego literackiego jubileuszu w Krakowie w r. 1879 Utrzymywał nader żywą i rozgałęzioną korespondencyę. Zwracał on także baczną uwagę i na sprawy wojskowe, a dla zebrania odpowiedniego materyału utrzymywał rozmaitych płatnych korespondentów. W Berlinie miał ich aż trzech z rzędu. Kiedy pierwszy z nich po jednorocznej czynności okazał się nieodpowiednim, zawiązał Kraszewski stosunek z literatem Adlerem, mieszkającym podówczas w Berlinie. Adler miał znowu agenta w osobie współoskarżonego Hentscha.

Franciszek Hentsch, syn pastora, służył w armii do r. 1872-go, dosłużył się stopnia kapitana, następnie zaś wstąpił do administracyi telegraficznej, w której pozostał do 1 maja 1880.

Hentsch był od wielu lat zadłużonym; od roku 1879-go przyaresztowano mu część pensyi. Głównym jego zarobkiem były prace z dziedziny wojskowej. Umiał on swoje stanowisko utrzymać tak dalece, iż pozostawał w stosunkach z najwyższemi kołami towarzystwa, szczególnie zaś z oficerami. Uchodził za człowieka zamożnego, budząc powszechne zaufanie, którego nadużywał jednak dla zdobycia papierów wojskowych.

Już w r. 1879-ym był Hentsch podejrzanym o karygodne zamiary. Stosunek jego z Adlerem zaczyna się od r. 1876 albo 1877. Wówczas najął go Adler jako korespondenta wojskowego z płacą pierwotnie 20 czy 30 m., któratо płaca wzrosła z czasem do 200 marek miesięcznie. Prócz tego dostarczał Hentsch Adlerowi osobnych robót, które też były wynagradzane oddzielnie. Otrzymywane od niego komunikaty doręczał Adler Kraszewskiemu.

W r. 1879, Adler, który wówczas z Berlina przesiedlił się był do Drezna, poróżnił się z Kraszewskim, poczem 1 października r. 1879 wyjechał do Wiednia. Teraz wszedł Hentsch w bezpośrednie zetknięcie z Kraszewskim, od którego prócz nadzwyczajnych honoraryów za osobne roboty pobierał miesięcznie 450 marek. Stosunek ten trwał do końca r. 1880. Nadto posyłał Hentsch po krótkiej przerwie prace swoje Adlerowi do Wiednia, co się skończyło dopiero w r. 1880.

Oskarżeni utrzymywali zdradzieckie stosunki z Francyą i Austryą. Francyi wydano dwa, Austryi jeden sekretny komunikat. O stosunki te z Francyi oskarżeni są obaj podsądni, co się zaś tyczy wszystkich innych karygodnych czynów, jest o nie wyłącznie Hentsch podejrzanym.

Stosunki oskarżonych do siebie, do Adlera wynikają w szczególności z całej seryi zabranych listów: 23 Hentscha do Adlera, 7 Adlera do Hentscha i 5 adresów listowych pisanych jego ręką. Listy Kraszewskiego i Hentscha są przez nich samych uznane, listy Adlera do Hentscha przez tego ostatniego.

Do osób, z którémi Kraszewski znosił się bliżej, należał także konserwator biblioteki polskiej w Paryżu Bronisław Zalewski, żyjący z prac literackich, w niedostatku zmarły w roku 1880 czy 1881-ym. Jemu to nadsyłał Kraszewski korespondencye treści wojskowej, między któremi główne miejsce zajmuje sprawozdanie o pochodzie i transporcie drogą żelazną armii niemieckiej ku granicy zachodniej. Pracy tej w jej ostatecznem wykończeniu sąd nie zna, natomiast znajdują się w aktach liczne i szczegółowe notatki zabrane od Hentscha, ktory ją wygotował na zamówienie Kraszewskiego przez pośrednictwo Adlera, za 1000 marek. Adler oświadczył Hentschowi, że praca ta jest przeznaczoną dla pewnego starego, bardzo bogatego literata w Dreznie. Kraszewski zaprzeczał z początku wszelkiej styczności z tem pismem, przyznał się jednak dopiero po okazaniu mu listu z dnia 17 lipca r. 1878.

Z listu tego wynika, iż owa robota nie była przeznaczoną ani dla Kraszewskiego, a nawet dla Zaleskiego, lecz dla kogo innego, i że do rąk osób trzecich doszła. Jest to niby odpis listu redakcyi jakiegoś pisma francuzkiego, którego jednakże Kraszewski bliżej nie określił. Ważniejsze jego ustępy brzmią: „Szanowny panie! Otrzymałem bardzo niemiły list, w którym użalają się na udzielone tabele i mają pana w podejrzeniu, iż one są niezręcznym zlepkiem z rozmaitych materyałów (komunikat za 1000 marek). Cały szereg miejsc jest widocznie mylny). I tak np. tabele wykazują w XIV-ym korpusie 14-ym pułku artyleryi tylko 7 bateryj, z których 3 są konne. Tak nie jest: 14-ty pułk liczy dwa oddziały, każdy po 4 baterye, a tylko 1 konną. Piszący poczytywał mylnie 5, 6 i 7-mą baterye za konną.“ Po podniesieniu sześciu podobnych, szczegółowo wskazanych wypadków i wypowiedzeniu zdania, że cała ta praca jest falsyfikatem, dalej po zganieniu i innych nadesłanych korespondencyj z powodu, iż one „wyjęte są z dzieł drukowanych“ (podkreślone) czytamy dalej: „Jeżeli się już kopiuje, to należy wyszukiwać przynajmniej takie dzieła, których dostać nie można,“ jako np. dotyczące uzbrojenia, wykazów i komunikatów inżenierskich itp., jednakże i to nie posiada tej wartości, jaką mieć powinny korespondencye tak drogo płacone. Na miłość Boga! powiedz pan korespondentowi, że tak dalej iść nie może.“

Następuje cały szereg nowych zamówień i prośba o możliwie spieszną odpowiedź. List odnosi się bezwątpienia do „marszu armii.“ Tak samo niewątpliwem jest, według pruskiego ministeryum wojny, że uwagi w liście pochodzić mogą tylko od wojskowego, albo od osobistości posiadającej wojskowe wykształcenie i nadto szczegółowo zajmującej się formacyą wojenną armii niemieckiej. Że ta osobistość należy do armii obcej mianowicie francuskiej, że ona pracę tę pozyskała dla swojego rządu i że ją wyzyskała, wynika także i z tego, iż wyrażenia użyte w liście kilkakrotnie różnią się od niemieckiego języka wojskowego, podczas kiedy militarne znaczenie pojedynczych rozporządzeń wszędzie prawdziwie jest rozpoznane. Dowodzi tego szczegółowa i rzeczoznawcza krytyka zawarta w siedmiu uwagach, które według wspomnianego orzeczenia są zupełnie uzasadnione.

Treść samej pracy, jak widać z zabranych notatek, jest tego rodzaju, iż zachowania jej tajemnicy wobec innych rządów dobro państwa niemieckiego nieodzownie wymagało. Chociaż nie są one wolne od omyłek i chociaż co do prawdziwego skreślenia stanu rzeczy, po części oparte są na materyałach zaczerpniętych z książek znajdujących się w handlu księgarskim, niemniej przeto zawierają z drugiej strony dużo poprawek poczynionych przez autora, do których używał on tajemnych, urzędowych materyałów,

Kraszewski twierdzi, iż działał w dobrej wierze, poczytując korespondencye za dozwolone i nie troszcząc się zresztą o ich treść; zamiarem jego było tylko dopomagać Zaleskiemu.

Następujące fakty przeczą temu. Uderzającem jest, iż Kraszewski, który zresztą zajmował się literaturą, poświęcał tyle troskliwej i mozolnej pieczołowitości korespondencyi wojskowej Zaleskiego i to śród okoliczności zdradzających gorliwe usiłowanie zachowania wszystkiego w tajemnicy. Trwa to mniej więcej od r. 1876 aż do śmierci Zaleskiego w r. 1880 lub 1881. Korespondentom płacono znaczne honorarya. Hentsch otrzymywał, jak już wspomniano, miesięcznie 450 marek, a nadto za nadzwyczajne roboty osobne wynagrodzenia. Adler (listy Kraszewskiego) 150, 360, 600, 1160, 1500, 660 marek.

Gdy Kraszewski w r. 1879 oddalił Adlera, tenże groził mu wyjawieniem całej sprawy. Groźby te powtarzał, przesiedliwszy się potem do Wiednia, Kraszewski (list Adlera do Hentscha) wszedł z nim w układy o wydanie listów, usiłując milczenie okupić znacznemi ofiarami pieniężnemi. Zapłacił mu przez swoją gospodynię p. Heinitz 1000 czy 2000 marek za zwrot pewnych listów, które zniszczył. Również przez Hentscha kazał zapłacić 600 marek. Później posłał do Adlera (do Wiednia) przyjaciela swojego majora Bohdanowicza z poleceniem, ażeby od niego odebrał 2 lub 3 kartki i nie oglądając ich spalił. Zapłata za te kartki wynosiła 4000 m. Bohdanowicz spełnił polecenie, które Kraszewski o tyle tymczasem zmienił, iż kazał papiery posłać Zaleskiemu do Paryża. Powyższą kwotę uiścił ratami; częściowo przynajmniej zwracał mu je Zaleski. Iż ostatni przy szczupłych swoich dochodach nie mógł tego czynić z własnej kieszeni, Kraszewskiemu musiało być wiadomem. Kto właściwie płacił Kraszewski nie wie, a nawet redakcyi, dla ktorej Zaleski rzekomo pracował, nie umie bliżej określić. I takie też redakcye nie istniały w rzeczywistości. Wedle dochodzeń niemieckiego poselstwa w Paryżu, wydawane tam miesięczniki nie zamieszczały podobnych rozpraw, co zresztą jest naturalnem. Wypłaty szły za pośrednictwem pewnego banku paryskiego przez kantor bankowy w Dreznie. W czasie od stycznia do września r. 1880, zapłacono w Paryżu na czeki 8475 m. Kraszewski twierdzi, iż wypłacał Zaleski. Jeśliby to była prawda, to w każdym razie pewnem jest, iż tu współdziałały jeszcze trzecie osoby, ponieważ wedle poszukiwań poselstwa, wpłaty kwot nie następowały na imię Zaleskiego, lecz na imię innych osób. Pomiędzy niemi spotykamy raz nazwisko Kraszowskiego, a w czterech wypadkach Delaroche. Nazwisko to nosi w francuskiem ministeryum wojny *chef archiviste* przy *bureau des archives*.

Wszystkie listy do Adlera są albo bez żadnego podpisu, lub też ze skróconym. Że korespondencya z Zaleskim osłonięta była tajemnicą, wynika także z listu (d. 11 września 1877 r.), wedle którego treści Adler miał Zaleskiemu, który się doń zgłosił osobiście, doręczyć pakiet opieczętowany, ponieważ, jak zeznaje sam Kraszewski, nie powinien był wiedzieć, iż papiery były przeznaczone dla Zaleskiego w Paryżu.

Chociaż już z tych faktów wynika, że twierdzenie Kraszewskiego, jakoby on działał zupełnie w dobrej wierze, nie zasługuje na wiarę, to treść jego listów pisanych do Adlera dowodzi wypadku wręcz przeciwnego. Korespondencya z Adlerem była bardzo żywą. Już trzydniowa przerwa niepokoiła Kraszewskiego. Szczególną wartość mają dla niego niedrukowane nowiny, kopie rzeczy drukowanych zwraca, przestrzega różnicy pomiędzy korespondencyą redakcyjną a prywatną, dla której to udziela osobych wskazówek. Adler podaje oferty, o których Kraszewski zdaje swojej „redakcyi,“ to znowu Kraszewski robi zamówienia. Na szczególną uwagę zasługuje jeszcze cztery listy z r. 1878, oraz jeden bez daty. W liście z 10-go lutego zawarte jest żądanie doniesienia o produkcyjności niemieckich fabryk patronów; w listach z 23-go lutego i 17-go lipca zamawiane są komunikaty odnoszące się do komitetów inżenierskich, wiadomości o ładowaniu polnych wozów minerskich i o próbach z karabinami repetującymi, o których wojskowy korespondent Kraszewskiemu pisał; w liście bez daty wyrażona potrzeba informacyj co do użyteczności istniejących w Prusiech mostków kolejowych. Wszystkie te pytania odnoszą się do tajnych materyałów. Że Kraszewskiemu znaczenie tych materyałów było wiadomem, wynika pomiędzy innemi z listu z 17 lipca 1878 r., w którym komunikaty odnoszące się do do korpusu inżenierów wskazane są jako dzieła, których dostać nie można.

W związku z tem nabiera znaczenia zeznanie majora Bohdanowicza o zleceniach, jakie mu dawał Kraszewski. Miał on dostarczać korespondencyj w języku francuskim. Świadek nie przypomina sobie, czy Kraszewski mówił mu wręcz, iż one przeznaczone są dla państwa francuskiego; ale tak przypuszczał.

Korespondencye nie miały zawierać zwykłych nowin, lecz powinny mieć treść specyalną nie wykluczając tematów wojskowych. Świadek odmówił, chociaż przy jego stosunkach majątkowych ofiarowane przychody byłyby mu bardzo się przydały, a to z powodu, iż rzecz według jego przekonania była „poniekąd sprzeczną z jego pojęciami o honorze.“ Bohdanowicz pozostawał o tyle z Kraszewskim w bliższych stosunkach, że przełożył kilka jego utworów na język niemiecki i z powodu jubileuszu napisał jego życiorys.

Badanie. Na pierwszem posiedzeniu Kraszewski złożył następujące zeznanie.

„Zaleskiemu, jako staremu przyjacielowi, pragnąłem przyjść z pomocą materyalną, dostarczając mu korespondencyi o rzeczach wojskowych, o które gorąco w imieniu pism francuskich upraszał. Nie widziałem nic nienaturalnego ani w jego żądaniu, ani w stosowanem wynagradzaniu osób, które za pośrednictwem mojem ich dostarczały. Bliżej nie badałem zresztą całej sprawy, która o

tyle mię obchodziła, o ile sądziłem, że pośrednicząc w interesie Zaleskiego, przychodzę mu zpomocą, której on bardzo potrzebował. Tem mniej zresztą sprawa interesowała mnie osobiście, iż nie znam się na sprawach wojskowych.

„Do żadnego stronnictwa nie należę. Kocham moją narodowość i dlatego pracuję nad konserwowaniem tego, co stanowi jej istotę. Należę do miłujących i dlatego przekonaniom moim nie nadaję barwy wyłączności koteryjnej. Program, o jaki mnie i rodaków moich posądza akt oskarżenia, nie istnieje dla nas w teraźniejszości; i ja i ziomkowie umiemy się liczyć z warunkami położenia.“

Biegli (wojskowi) zaświadczyli, że Hentsch do swej pracy: „Marsz armii ku granicy zachodniej“ musiał używać źródeł rządowych tajnych. Skutkiem wszakże wyjaśnień prokurator zmienił oskarżenie co do Kraszewskiego (zamiast § 92 — najmniej dwa lata więzienia, zastosował § 49 — grożący karą od trzech miesięcy do lat dwu). Świadek Bohdanowicz zaprzeczył protokółowi co do przypisanego mu wyrażenia, jakoby nie przyjął propozycyi Kraszewskiego ze względu na jej niehonorowość.

W tej chwili zdarzył się wypadek, który sprawił głębokie wrażenie. Odczytano zapowiedziany na wstępie posiedzenia list ks. Bismarka do ministra wojny gen. Bronsarta tej treści:

„Ekscelencyo! W sprawie Kraszewskiego mam zaszczyt udzielić następujących wyjaśnień: W Paryżu istnieje „Towarzystwo żołnierzy polskich,“ liczące trzydziestu członków. Ma ono na celu zbieranie danych statystycznych co do armij europejskich, tudzież utrzymywanie związku pomiędzy ich oficerami. Stowarzyszenie to gotowem jest do uczestniczenia we wszystkich europejskich wypadkach wojennych w interesie swojej idei. Objawiło ono już kilkakrotnie w czynny sposób swoją działalność: w r. 1866 w szeregach Garibaldiego, w 1870 w szeregach francuskich, w 1877 i 1878 podczas wyprawy wschodniej. Wszyscy członkowie stowarzyszenia używani byli przez szefa biura statystycznego we francuskiem ministeryum wojny, pułkownika Samuela dla nawiązania stosunków pomiędzy oficerami kilku armij. W r. 1876 zostało ono zniesionem. W 1878 Gambetta polecił Władysławowi Wołowskiemu utworzyć biuro wywiadowcze dla zasięgania wiadomości o stosunkach armii niemieckiej, rosyjskiej i włoskiej. Wszędzie poumieszczano agentów; głównem ogniskiem tych robót w Niemczech było Drezno. Kraszewski został agentem w ziemiach niemieckich. Podczas pobytu swojego w Pau znosił się z bawiącym tamże pułkownikiem Samuelem, który przedstawił go Ferremu. Ten przyrzekł Kraszewskiemu order francuski. Na wiadomość o uwięzieniu Kraszewskiego polecił gen. Thibaudin, ówczesny minister wojny, przedsięwziąć rewizyę u hr. Erlangera, którego podejrzywano, iż jest agentem niemieckim. Dla zakrycia rzeczy udawano, że chodzi tu o sprawę banku „Union générale.“ Podczas gdy Kraszewski śledził stosunki niemieckie, działał w Wiedniu inny literat polski, który bratu swojemu w Paryżu przesyłał wiadomości wojskowej natury.

(podp. własnoręcznie) *Bismark.*“

List ten (o którym później pomówimy) sprowadził zamęt. Kraszewski zerwał się z miejsca i krzyknął:

— To fałsz! zmyślenie. Nie znam Thibaudina! Nie znam Samuela.

Upadł na krzesło zemdlony.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Album malarzy polskich w sztychach, z objaśnieniami prof. H. Struvego zaczęło wychodzić nakładem Robiczka w Warszawie. Odbicia wykonywane są sposobem nowym, *heliograwiurowym* (naturalnie zagranicą), który im nadaje więcej wdzięku niż drzeworyt i więcej trwałości niż fotografia, a przytem odznacza je oryginalnością. Naturalnie wobec znacznego rozmiaru klisz, pięknego papieru i czystości odcisku Album jest niedrogiem: w drodze prenumeraty miesięcznie rs. 1 k. 60 (zeszytów ma być 12). W zeszycie pierwszym wydano: *Wazon czy kobietę* Siemiradzkiego i *Skazaną* Rossowskiego.

Intytut wód mineralnych dra Weinberga otworzył porę leczenia w Ogrodzie Saskim i zawiadamia, że studentom, uczniom, artystom teatru itd. odstępuje wody po zniżonej cenie.

Uregulowanie Wisły. Dla uregulowania brzegów Wisły w granicach Królestwa utworzone zostało towarzystwo, żądające w zamian prawa eksploatowania żeglugi przez lat 40. Towarzystwo składa się z kapitalistów... holenderskich i zawiązane zostało w Amsterdamie!

Sądy. B. uczeń IV gimnazyum p. Grajnert, oskarżony o zelżenie czynne p. Peltyna, nauczyciela gimnazyum uwolniony został przez Sąd Okręgowy od wszelkiej odpowiedzialności.

Ustawa hypoteczna dla Cesarstwa wkrótce już przedstawiona będzie do zatwierdzenia Rady państwa. Prowadzenie i ochrona ksiąg powierzone być mają wydziałom hypotecznym przy sądach okręgowych, które składać się będą z członka sądu jako prezydującego, kustosza ksiąg i kancelaryi.

Długi teatrów warszawskich spłacone będą z jednorazowego zasiłku udzielonego przez rząd w zamian za zniesienie corocznego subsydyum, które i tak istniałoby tylko kilka lat; wynosi bowiem obecnie sumę 25,000 rs. zmniejszającą się corocznie o 5000 rs.

Nowy teatr. Budowa nowego gmachu teatralnego dla przedstawień dramatu i komedyi, według *Kur. warsz.* została już stanowczo rozstrzygniętą. Budynek stanie na Placu Zielonym.

Reforma. 4 i 5 departamenty rządzącego senatu zostają zniesione, wszystkie zaś sprawy w nich obecnie znajdujące się rozstrzygać będzie departament 3-ci.

Szkolnictwo. Na posiedzeniu naczelników dyrekcyj naukowych postanowiono: podnieść etat nauczycieli szkół gminnych do 250 rs. oprócz mieszkania i innych dodatków, 2) wprowadzić obowiązkowe nauczanie w szkołach eparchii chełmskiej, przyczem liczba szkół ma być odpowiednio powiększoną, 3) założyć w Zamościu seminaryum nauczycielskie żeńskie.

Obywatelska działalność p. Słonimskiego, którą tak podniosły niektóre pisma, a której my nie mogliśmy dopatrzeć, dziś już ulegać nie może zaprzeczeniu. Redakcya gazety *Hacefirah* rozsyła wydrukowany po hebrajsku prospekt na... *Wsieobszczij litieraturno - naucznyj kalendar dla jewrejew*, w którym oprócz adresu p. Sokołowa (redaktora kalendarza) w języku urzędowym, znajdujemy również adres jego po niemiecku—po polsku ani słowa!

Popyt i podaż. Na sto kilkadziesiąt posad przy budującej się drodze iwangrodzko-dąbrowskiej zarząd jej otrzymał 2116 podań.

Zapis. Obywatel m. Lublina F. Żyszkiewicz zapisał na rzecz miejscowego Tow. dobroczynności trzypiątrowy dom dla utworzenia przytułku dla podupadłych rzemieślników i sług.

Odkrycie. Korespondent z pod Wilna do *Kuryera warszawskiego* odkrył w swojej okolicy małorusinów. Jako próbkę narzecza *małoruskiego* przytacza on piosenkę *białoruską*. To samo pismo nie może darować francuzom pomieszczenia Warszawy w Niemczech.

Fiat justitia. W Kadnikowie sędzia pokoju pociągnął do odpowiedzialności za nieprzyzwoite zachowanie się w cerkwi—4-letnią dziewczynkę. Dopiero adwokatowi ledwie udało się wytłomaczyć, że prawo maleństwa takiego nie karze.

Statystyka. Szczegółowe wykazy dowodzą, że polska własność ziemska w gub. południowo-zachodnich obdłużoną jest znacznie mniej, aniżeli rosyjska, jakkolwiek ta ostatnia korzysta z wielu przywilejów. W majątkach, należących do polaków, za włókę wypada przeciętnie 204 rs. długów, zaś w majątkach rosyjskich 279.

Rewolucya w miniaturze. Żydzi tarnopolscy nie chcieli odbywać powinności drogowej, ani płacić składki. Zarząd miastu musiał wreszcie wezwać pomocy wojsk i policyi, poczem przyszło do krwawej bójki na ulicach. Obecnie porządek został przywrócony, ale żydzi postanowili nie kupować trunków w szynkach, czem zadali dotkliwą szkodę dochodowi z propinacyi miejskiej.

Nowe rozruchy z powodu uciążliwej ustawy drogowej, która dotychczas nie była ściśle wykonywaną, zaszły w Kopystyńcach w Galicyi. Dla uśmierzenia włościan przywołano wojsko i w bójce 4 chłopów zostało zabitych.

Zmiana wyznania. Znany ks. Naumowicz, odsiadujący więzienie we Lwowie, zawiadomił władze, że przechodzi na prawosławie.

Zmarli: Midhat-basza, słynny niegdyś wielki wezyr, reformator i twórca dziś pogrzebanej konstytucyi tureckiej, jeden z najznakomitszych mężów stanu zmarł na wygnaniu w Arabii.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ant. Nie.

Autorowi wiersza „Sobieski.“ Zsiądź Pan z pegaza.

D. D. Rozdziału na naukę męską i żeńską w katalogu robić nie możemy. Podane będą książki w różnych językach.

P. Zg w Klusku. Odpowiemy później.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Мая 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.